NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi w Galicyi i Austryi: Kwartalnie 5 kor. Półrocznie 10 kor. Rocznie 20 kor. — Do Niemiec: Kwartalnie 5 kor. 65 hal. Półrocznie 11 kor. 30 hal. Rocznie 22 kor. 60 hal., z przesyłką pocztową. — W Ameryce: Kwartalnie 6 kor. 30 hal. Półrocznie 12 kor. 60 hal. Rocznie 25 kor. 20 hal., z przesyłką poczt.

Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 hal. — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).

Telefon Nr. 479.

Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

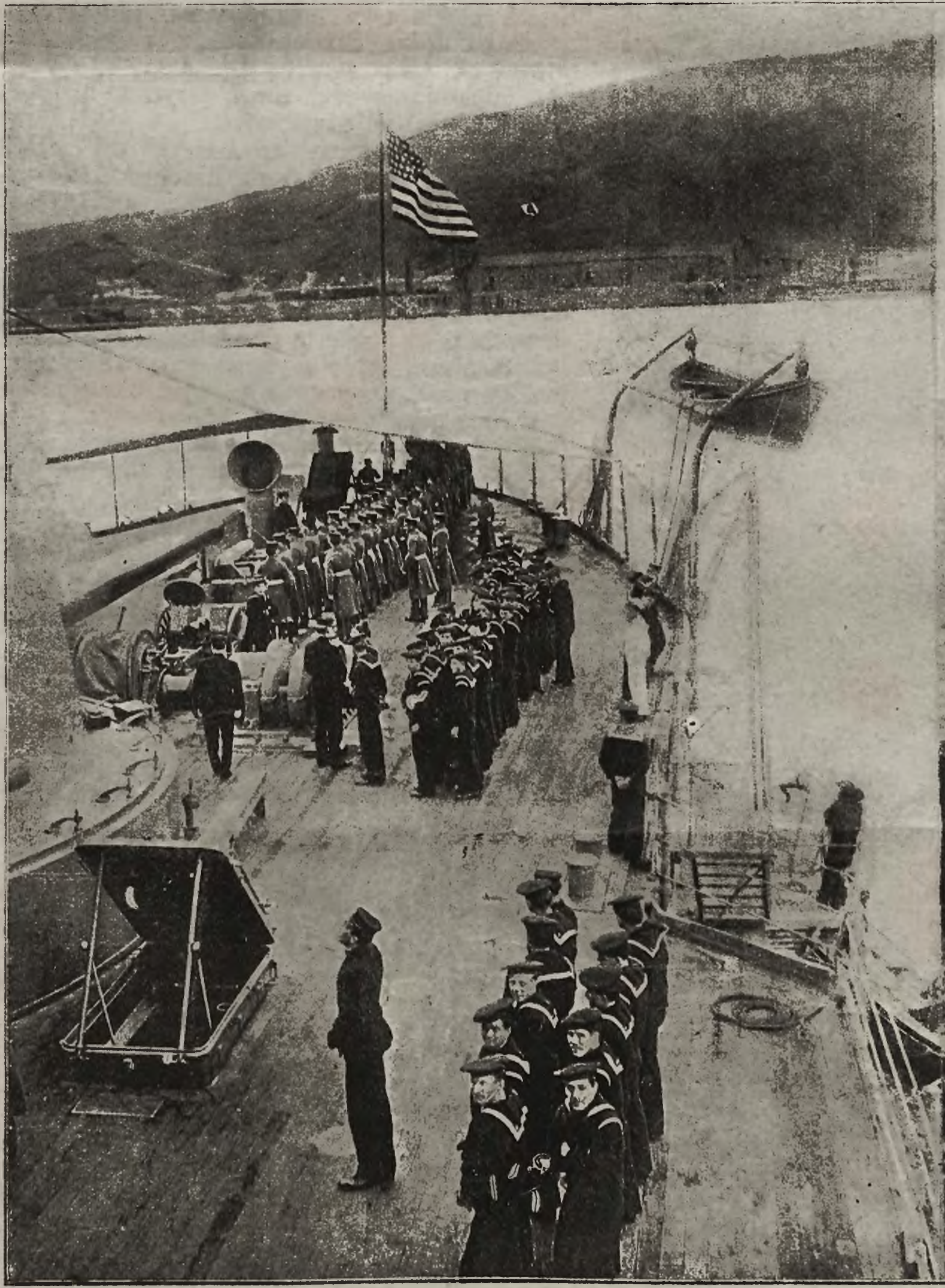
Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.

Numer pojedynczy 40 halerzy — 20 kop. — 40 fen.

Rok XIV. | Kraków, 17 lutego 1917. | Nr. 7.

Ameryka w wojnie światowej.



Poranna parada na pokładzie wielkiego amerykańskiego okrętu wojennego.



Spuszczenie na morze łodzi parowej z amerykańskiego wielkiego okrętu wojennego.

Treść numeru: Lwów — Rotowskiemu. — Odbudowa Galicyi. — Z frontów bojowych. — Szkoły polskie na Wołyniu. — Wycieczka artystyczna teatru polowego. — Ze szkoły inwalidów. — Kurs handlowy dla Legionistów i t. d.

Ameryka w wojnie światowej.

(Do illustracyi tytułowej).

Ostatnie z mocarstw neutralnych stanęło otwarcie w rzędzie państw walczących. Wprawdzie w chwili, gdy to piszemy, Stany Zjednoczone Ameryki Północnej nie wypowiedziały jeszcze wojny, ale już zerwanie stosunków dyplomatycznych z Niemcami świadczy wymownie, że Ameryka postanowiła zerwać zasłonę pozornej neutralności i stanąć po stronie koalicyi. Dotychczas nie wiadomo, jak daleko zajdą Stany Zjednoczone w swej akcyi przeciw państwom centralnym. już dziś jednak nie ulega wątpliwości, że na arenę wystąpił nowy czynnik militarny. Dlatego nie od rzeczy będzie przyjrzeć się bliżej tej sile, jaką na lądzie i morzu rozporządzają Stany Zjednoczone. Można się tu oprzeć jedynie na cyfrach, które tak często — jak wojna obecna stwierdza — zawodzą.

Cyfry te nie przedstawiają się zbyt imponująco. Potężna bowiem republika liczyła w sierpniu 1916 r. zaledwie 7.107 oficerów i 121.547 zawodowych żołnierzy (łącznie z oddziałami sanitarnymi i strzelcami na Filipinach) tudzież (w r. 1914) 8972 oficerów i 119000 żołnierzy, zszeregowanych w milicyi. Pomoc ta na europejskim terenie wojny, mimo iż zawodowy żołnierz amerykański jest znakomicie wyszkolony, nie zdołałaby pod względem liczebnym poważnie zaważyć na szali. Wprawdzie w razie „niebezpieczeństwa narodowego“ obowiązanym jest każdy obywatel amerykański w wieku od lat 18 do 45 stanąć pod bronią, tak, iż, przy 130 milionach mieszkańców, utworzona w ten sposób tak zwana milicya rezerwowa liczyłaby około 15 milionów bojowników, niemniej jednak byłby to na razie tylko materyał surowy. Można spodziewać się, iż, przy znanym nastroju ludności w Stanach Zjednoczonych, ochota dobrowolnego spróbowania szczęścia na starym lądzie wydałaby niegorsze rezultaty, niż werbunkowy system angielski. niemniej jednak brak żywiołu podoficerskiego i oficerskiego odsunąłby to pragnienie w niebardzo bliską przyszłość. Sprawozdawca wojenny „Pester Lloyda“, Fabius, oblicza, iż w najlepszym wypadku mogłyby Stany Zjednoczone rzucić do Europy 100000 żołnierzy, zaś w dalszych dwóch miesiącach takąż samą liczbę. Stanowiłoby to w pięciu miesiącach 200 do 250 tysięcy żołnierza, wybranego przeważnie z zasilonej przez ochotników milicyi. gros bowiem stałego wojska, w sile około 100000 ludzi, musiałoby pozostać w domu, by służyć dalszym zastępom, jako formacye podstawowe i instruktorskie. Oczywiście, iż pomoc 250000 ludzi, dostarczona dopiero po pięciu miesiącach, w chwili, gdy według ogólnych przewidywań losy wojny będą już rozstrzygnięte, mało ma danych, by wpłynęła na bieg wydarzeń.

Natomiast jako potęga morska przedstawiają się Stany Zjednoczone istotnie okazale. Flota wojenna Stanów zajmuje już obecnie trzecie miejsce w świecie (tuż po Niemcach), a po całkowitem urzeczywistnieniu swego programu flotowego, jaki przed wojną uchwalono, a w toku wojny jeszcze bardziej rozszerzono, wysuną się Stany na miejsce z rzędu drugie. Mianowicie w ciągu najbliższych lat ma być oddanych w budowę: 10 statków bojowych (t. zw. naddreadghnoutów) 6 krążowników pancernych, 10 krążowników wywiadowczych, 15 kontrtorpedowców i 100 łodzi podwodnych. Okręty bojowe i krążowniki bojowe mają górować nad statkami tegoż typu wszystkich innych państw. Pierwsze z nich mają dochodzić do pojemności 40000 tonn, zaś drugie 36000 tonn, przyczem statki bojowe mają otrzymać uzbrojenie w postaci dziesięciu dział 40 cm. kalibrowych, zaś krążowniki 38 kalibrowych. Budowa tych wielkich jednostek bojowych była z początkiem obecnej wojny poważnie zagrożona z uwagi na wrażenie, jakie w sferach marynarskich wywołało skuteczne użycie tego rodzaju broni, jaką stanowią łodzie podwodne. Później jednak, gdy naocznie przekonano się, jaką przewagę daje Anglii ciężka flota, powrócono do dawnych zasad, przyczem szalę przeważyła bitwa pod Skagerrakiem.

Obecnie potęga morska Ameryki opiera się na 17 statkach bojowych (typu dreadghnoutów i naddreadghnoutów), z których trzy naddreadghnouty, każdy o pojemności 32000 ton, są dopiero w stadyum wykończenia. Gotowych do boju jest natomiast 6 naddreadghnoutów, każdy o pojemności od 28 do 32 tys. ton, uzbrojonych w sumie w 64 dział o kaliorze 35.6 cm., dalej 8 dreadghnoutów o 80 działach 30.5 cm., każdy o pojemności od 18 do 28 tys. ton. Do wielkich jednostek bojowych należy również dość silnie uzbrojonych 11 statków bojowych z okresu półdreadghnoutów; krążowników bojowych nie posiadają Stany Zjednoczone obecnie żadnych, a ró-



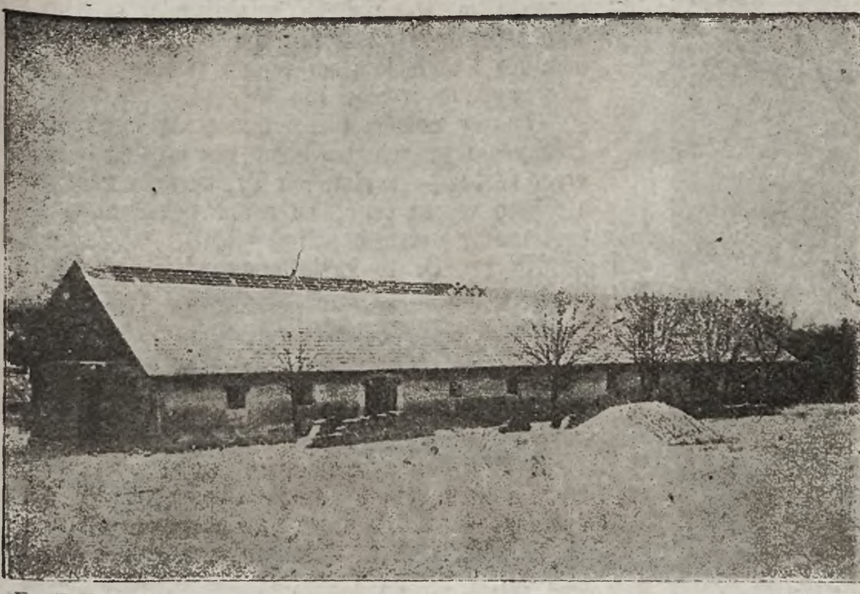
Lwów — Rutowskiemu: Prezydent dr. T. Rutowski (1) w towarzystwie rektora dra Twardowskiego (2) odbywa przegląd honorowej kompanii legionowej przed dworcem. (3) Komendant kompanii honorowej Leg. Terlecki.



Odbudowa Galicyi: Ogólny widok odbudowanych domów w Rożubowicach (powiat przemyski).



Lwów — Rutowskiemu: Złożenie hołdu dr. T. Rutowskiemu w lwowskiej sali ratuszowej. (Przemówienie reprezentanta Rady przybocznej prof. dr. Marcelego Chlamtacza)





Odbudowana stajnia dworska w Zabłotcach (pow. przemyski). **Odbudowa Galicyi:** Odbudowana stodoła dworska w Podmojscach (pow. przemyski).

wnież 13 pancerników spuszczonych na wodę przed 14 względnie 11 laty, a więc przestarzałych, nie przedstawia w obecnych czasach poważnej wartości. Mało ma również Ameryka chyżych krążowników małego typu, gdyż zaledwie trzy. Flotylla torpedowa składa się z 70 kontrtorpedowców 20 łodzi torpedowych. Łodzi podwodnych mają Stany około 50. Załogi okrętowe tych statków liczą około 55 000 ludzi.

Tak przedstawia się obecny stan sił zbrojnych Ameryki. Wątpić jednak należy, czy Stany Zjednoczone zdecydują się swą armię i swą flotę zaangażować w tak niepewnym hazardzie, jakim okazała się obecna wojna.

Odbudowa Galicyi.

(Korespondencya własna „Nowości Illustrowanych").

Przemyśl, luty 1917.

Roboty około odbudowy powiatu szybko postępnią naprzód. Nie minęła jesień, a stanęły stodoły i brogi, by można było ukryć pod dachem przeszłoroczne zbiory, jakoteż najkonieczniejsze budynki gospodarcze. A nie było to zadanie łatwe! Około trzy tysiące stodół włościańskich, dworskich i plebańskich zwieźć na miejsce budowy i postawić w przeciągu trzech niespełna miesięcy! Stodoły, kryte na razie papą, po uruchomieniu przez Centralę odbudowy szeregu fabryk dachówki, pokryte zostaną materyałem ogniotrwałym, a ściany wyk nane zostaną z wikliny. Przygotowania w tym względzie poczynione i, gdy tylko miną ostre mrozy, robota rozpocznie się w dalszym ciągu.

Z końcem października rozpoczęły się roboty około odbudowy domów. Ekspozytura odbudowy kraju w Przemyślu, ciesząca się już dzisiaj zasłużoną sławą a pozostająca pod energicznem kierownictwem nadradcy namiestnictwa inż. E Pannenki, urządziła w powiecie pięć składowni materyałów budowlanych. (Przemyśl, Medyka, Zórawica, Niżankowice, Hermanowice). W składowniach wykonuje się roboty wstępne (odwiązanie domów), a następnie gotowy dom zwozi się na miejsce budowy i w przeciągu tygodnia ustawia się go i kończy niemal zupełnie. Ogromne trudności w budowie sprawia brak koni, jak również ustawiczne przeszkody w ruchu kolejowym.

Pomimo uciążliwych warunków pracy wybudowała Ekspozytura przemyska około czterysta domów,



Odbudowa Galicyi: Odbudowany kościół w Witoszyńcach (powiat przemyski).

przeszło sto przygotowanych leży w składowniach, a roboty nie ustają ani na chwilę. Dziś już w powiecie naszym policzyć można na palcach bezdomnych, nie mających dachu własnego nad głową.

Wyrażano różne obawy pod adresem Centrali odbudowy — a szczególnie obawiano się o estetyczną stronę wsi naszej. Ryciny załączone przekonają sceptyków.

Lwów — Rutowskiemu.

Serdecznie i uroczyście powitał Lwów powracającego z niewoli rosyjskiej swego prezydenta, dra Rutowskiego. Wjazd jego do stolicy kraju stał się wspaniałą manifestacyą, w której wzięły udział wszystkie sfery tego miasta, a niezliczone tłumy przed dworcem i na ulicach witały owacyjnie swego opiekuna i obrońcę w najcięższych czasach inwazyi rosyjskiej.

Punktem kulminacyjnym uroczystości powitalnych było zebranie w ratuszu lwowskim.

Wielka sala ratuszowa zapełniła się szczelnie mnóstwem delegacyi, które powitalnym hołdem pospieszyły uczcić wracającego prezydenta. — Wśród deputacyi zjawili się: reprezentanci Legionów, delegacya uczestników powstania z roku 1863, członkowie delegacyi N. K. N., rektorzy uniwersytetu i politechniki, przedstawiciele Wydziału krajowego, władz sądowych, była Rada miejska, magistrat, Liga kobiet N. K. N., rabinat gminy wyznaniowej izraelickiej, Towarzystwo dziennikarzy polskich, przedstawiciele rozmaitych instytucyi naukowych, oświatowych, wychowawczych, gospodarczych, kółek i zrzeszeń obywatelskich i zawodowych, stowarzyszeń akademickich, przedstawiciele prasy, literatury, sztuki, zrzeszeń handlowych, przemysłowych i rękodzielniczych, towarzystw humanitarnych i dobroczynnych. Wśród obecnych znajdował się też konsul niemiecki p. Heinze. — Przed ratuszem zaś kłębiło się niezliczone mrowie ludności, zwłaszcza tej najbiedniejszej, która w czasie inwazyi tak poznała wielkie serce Rutowskiego.

Prezydent Rutowski wszedł na salę, powitany burzą oklasków i okrzyków, w towarzystwie komisarza rządowego, Grabowskiego. Po mowie powitalnej, wygłoszonej przez komisarza rządowego, nastąpiły dalsze przemówienia, na które dr. Rutowski odpowiedział w serdecznych słowach.

Imieniem Komitetu wręczył rektor Twardowski trzy wspaniałe pamiątkowe albumy z podpisami mieszkańców Lwowa, poczem reprezentanci rozmaitych delegacyi przystępowali z darami. Między





Odbudowany dom w Rożubowicach (pow. przemyski) **Odbudowa Galicyi:** Odbudowany dom włościański w Hnatkowicach



Lwów — Rutowskiemu: Tłumnie zebrana publiczność wita dra Rutowskiego, opuszczającego ratusz po uroczystości w dniu 2. lutego b. r.

pozwala im w chwilach kataklizmów schylić karku wobec przemocy zdarzeń; nie wypadki dziejowe po nich idą i zmieniają im wyraz twarzy, oni sami nadają wypadkom bieg lub wygląd.

Objawy miłości i czci budzą się wtedy u współczesnych i przychodzą same, nie jako zachęta do nowych zasług — takim, jak Ty, zachęty nie trzeba — ale jako wyraz tego, co serca pełne czują, bo sercom mowy potrzeba.

Niechże Ci te karty opowiadają, co Lwów dla Ciebie czuje za to, żeś mu chciał i umiał być ojcem w godzinie nieszczęścia!

Kochamy Cię i czcimy za to:

Żeś w chwili zamętu i popłochu powszechnego, nie dbając o bezpieczeństwo i wygodę osobistą, stanął na stanowisku i wytrwał na niem do końca,

Żeś, zapominając o sobie i swoich, dbał o pożywienie dla głodnych, o pracę dla bezrobotnych, o środki dla zagrożonych nędzą i nawiedzonych chorobą,

Żeś pomagał uwięzionym, a innych od więzienia ratował,

Żeś umiał na każdym kroku Polskość Miasta wobec najeźdźcy wyznawać,

Żeś się skutecznie troskał o zabytki kultury polskiej i dbał o jej żywe instytucye,

Żeś był wodzem i wzorem w spełnianiu hasła, któreś między tłumy rzucił:

> Niczego się nie zapierać;
> Niczego się nie zrzekać:
> Bronić każdego posterunku!

innymi wręczono prezydentowi adres honorowy od Towarzystwa dziennikarzy polskich, przewiązany wstęgą o barwach narodowych i ozdobiony prześliczną odznaką Towarzystwa, dalej tekę z artystycznemi szkicami od Komitetu Pracy Obywatelskiej Kobiet, fotografię pamiątkową Gniazd rodzinnych z czasów inwazyi i wiele innych darów, zwłaszcza kwiatów prześlicznych, które, jako wyraz uczuć składano w czcigodne dłonie prezydenta.

Na tem zakończyło się powitanie prezydenta w ratuszu. Wieczorem zaś odbył się w Kole literacko-artystycznem wspaniały raut. — Udział publiczności był ogromny. Obie wielkie sale Koła zapełniły się szczelnie przedstawicielami wszystkich warstw ludności, reprezentantami miasta, wojskowości, Legionów polskich, instytucyi i zakładów naukowych i t. d.

Po uroczystem powitaniu nastąpiły produkcye wokalne, po których fala gości przeniosła się do gościnnych sal Kasyna, gdzie wśród miłej pogawędki, urozmaiconej koncertem muzyki wojskowej, spędzono czas do północy.

Należy jeszcze zaznaczyć, że przy powitaniu w ratuszu wręczono dr. Rutowskiemu następujący adres miasta Lwowa:

„Czcigodny Panie! Twej miary ludzie poświęcają się i pracują nie dla nagrody, która przychodzi z zewnątrz, choć tą nagrodą miłość i cześć współczesnych; pracują dla Ojczyzny i zasługi koło niej kładą dlatego, że im tak własny wielki głos wewnętrzny każe — głos, który im nie pozwala poprzestać na spełnieniu litery obowiązku — nie



Lwów — Rutowskiemu: Powitanie prezydenta dra Rutowskiego przed dworcem kolejowym.
(Zdjęcia wykonał dla zbiorów Muzeum historycznego m. Lwowa Józef Łoziński-Jaworski)

Wódz i sternik, przywiązany do masztu nawy, utrzymałeś ducha towarzyszów dziejowej wędrówki; wśród wirów i gromów i syrenich głosów nie zboczyłeś ani odrobiny z drogi, którą sztandar z białym orłem znaczył.

Za to Ci miłość nasza, wdzięczność i cześć!“



Odbudowa Galicyi: W odbudowanym domu włościańskim w Rożubowicach (powiat przemyski).

Kurs handlowy dla Legionistów.

(Do illustracyi na str. 9).

Z inicyatywy dra Biegeleisena (obecnie sierżanta Wojsk Polskich) pracującego przy kursie ekonomicznym N. K. N. w Krakowie, powstał w czerwcu z. r. drugi kurs handlowy dla inwalidów Legionistów, jak również żołnierzy polskich c. i k. armii, zakończony w styczniu b. r. egzaminem, który wykazał bardzo pomyślne wyniki. Należy tu podnieść z uznaniem zasługi dra Biegeleisena, jak również profesorów kursu, pp. Oesia, Pompy, dra Głębia, dra Łozińskiego, Horowitza, Kornela, Byczkowskiego, Ippolta, Grodzińskiego, Lulka, radcy Reinholta, Feinberga, Syca, Langa i dra Sąpskiego, którzy ofiarowali bezinteresowną a prowadzoną z zapałem pracę, aby przysporzyć naszemu społeczeństwu pożytecznych pracowników, tak niezbędnych do ekonomicznego rozwoju przyszłego państwa polskiego.

W dzisiejszym numerze zamieszczamy grupę uczniów i kierowników świeżo ukończonego kursu.

Adam Wiaryga Minieski.

Poza frontem

(Powieść z dni ostatnich).

20

— Co ja pocznę?! Co ja pocznę?!... Ojciec nie da się uprosić! Ja go znam!... Nie kochał mamy i mnie nie kocha.. A ja za tego buldoga za nic! Za nic!... Ach! Boże! Boże!...

Michnik z bezładnego opowiadania Józi zrozumiał tyle, że grozi mu rzecz najgroźniejsza... Jakiś nieznany rywal zamierza mu wydrzeć Józię, a ojciec jej usiłuje ją przymusić... Krew zalała mu mózg, zadygotały ręce z gniewu.

— Ja nie pozwolę, żeby panią ktokolwiek zmuszał!... Panno Joziu, ja nie dam pani temu... Ja go wprzód zabiję!... Zamorduję!...

Józia wzruszyła ramionami ze zniechęceniem.

— Eh zawracanie głowy. Zabiję! Zamorduję! Gadanie... Toby mnie pan dopiero uczęstował! Pan by poszedł do kryminału, a mnieby dużo z tego przyszło!... Nie! Już ja widzę jestem zgubiona... przeklęta, czy co?...

— Panno Józiu!.. Józiu... proszę tak nie mówić! Ja obronię, doradzę, pomogę!...

— E dużo mi pan tam pomoże!... W pierwszej chwili to mi się tak coś zdawało... Leciałam do pana, jak waryatka... Dlaczego?.. Czy ja sama wiem, dlaczego?... Ale teraz widzę, że niema dla mnie ratunku... Utopię się chyba, albo w świat ucieknę, gdzie oczy poniosą... Jak zginąć, to zginąć!...

Głos Józi przechodził w łkanie.

Zerwał się silniejszy wiatr i jakby w odpowiedzi na słowa dziewczyny, zaszumiały żałośnie czarne sosny w lesie, do którego się zbliżali.

Wydostali się teraz na rozkwitłe różowe wrzosowiska, poprzetykane gdzieniegdzie liliowymi dzwonkami. Od czasu, kiedy rozkwitły wrzosy, przychodzili tutaj często, bo Józia lubiła bardzo ten bezwonny, kształtem misterny, barwą subtelny, a dziwnie zdrowy i silny kwiat jesienny.

Urocze to były spacery, bo Józia zwykle bywała wtedy w doskonałym humorze. Zrywała osypane pełnem różowem kwieciem kiście wrzosów, układała z nich bukiety, a niekiedy, odbiegając dalej, szukała w nizkiej, splątanej gęstwinie liści borówczanych spóźnionych jagódek, albo też upatrywała, czy wśród jasno-zielonego mchu nie widnieje kędy niepozorny bronzowy kapelusz „prawdziwka".

Perliste gamy naprzemian śpiewu, to śmiechu napełniały powietrze. Ale dzisiaj dziewczyna nie myślała o kwiatach, ani o jagodach, lub grzybach ani o śpiewaniu. Osunęła się na jakiś napół zmurszały pień drzewa i pochyliła głowę. Rozwiane przez wiatr włosy opadały jej na twarz, a poprzez te jedwabiste, jasnobronzowe pukle sączyły się łzy duże, gorące i spływały na wrzosy.

— Józiu . Józiu... Józiu...

Józia czuła, że ją obejmuje męskie ramię niecierpliwe, a jednak nieśmiałe, słyszała, że płynie ku niej szept gorący a tkliwy, niezliczone razy powtarzający jej imię.. Nie reagowała na to wcale, może nawet nie zdawała sobie dobrze sprawy z tego, co się dzieje...

Obręcz ramienia męskiego zaciskała się coraz silniej, coraz goręcej... Józia powoli, z jakąś dziecinną ufnością, pochyliła główkę na pierś Władysława i płakała dalej... Płakała, tak, jakby chciała wypłakać cały swój ból życia, wszystkie żale i tęsknoty młodego, niespokojnego, burzliwego serca... Zapomniała o tem, że ten czyje ramię opasuje ją tak silnie i pewnie, to mężczyzna obcy, młody i zakochany... Nie myślała o nim, bo z całą siłą łkała w niej rozpacz, że oto jej młodość bujna i kwitnąca iść może na zatracenie... Ocknęła się dopiero wtedy, kiedy na ustach swoich, na oczach, zalanych łzami, poczuła rozpalone usta, kiedy posłyszała i zrozumiała wyraźnie drżące miłością słowa:

— Józiu! Józiu!... Najdroższa... najmilsza... nie płacz... nie płacz!... Ja obronię... nie dam... kocham... kocham nad życie... nad wszystko!... Słonko moje... kwiatku najcudniejszy... ptaszę moje ty biedne!... Józieńko słodka... złota... jedyna...

Szarpnęła się i silnym ruchem rozplotła opasujące ją ramiona. Zerwała się, ale ręce swoje pozostawiła w dłoniach Michnika, który, gniotąc kolanami wrzos, klęczał i spoglądał jej w oczy wzrokiem błagalnym, zamglonym miłosnem wzruszeniem.

Łzy przestały płynąć Józi z oczu. Długą chwilę stała i, nie cofając rąk, wpatrywała się uważnie, z jakiemś niezwykłem u niej skupieniem i powagą, w twarz Michnika, który już nie mówił nic, a tylko oczyma prosił i wyznawał.

— Panie Władysławie — odezwała się wreszcie głosem trochę drżącym — pan kocha mnie? prawda? Ale tak prawdziwie, poczciwie?...

— Pani pyta?.. Pytasz... Józiu... Czyż nie wiesz?...

— I pan chciałby ożenić się ze mną?...

— Józiu! — ton tego okrzyku starczył za odpowiedź.

— No, to dobrze! To ja zostanę pańską żoną... Ale pan śmiało stanie przed ojcem i obroni mnie przed Stobińskim!

— Przed całym światem!.. Moja... moja...

Więcej mówić nie mógł. Ramiona jego w niemej, pokornej podzięce objęły kolana Józi. Gorące usta Władysława przywarły do chłodnego perkalu sukienki.

Józia uśmiechnęła się jakoś smętnie i łagodnie odsunęła go od siebie.

— Niech pan wstanie i pomówmy spokojnie... Muszę pana jeszcze o coś zapytać... Może zapytanie moje pana obrazi, oburzy... Ale zapytać muszę... Czy... czy... pan nie będzie żądał posagu?...

Michnik zerwał się nagle na równe nogi.

— Jak pani może?! Skąd to pytanie?! Tak mnie krzywdzić... Józiu!... Jak można...

— Przepraszam pana — powiedziała bardzo miękko Józia, ujmując go serdecznym ruchem za rękę — ja wiedziałam, że pan mnie kocha bezinteresownie. Znam przecież pana, a jednak zapytać musiałam, bo wiem, że życie ma swoje twarde i brzydkie wymagania.., no i znam mojego ojca... Wiem, o co mu chodzi...

— Józiu! Józiu!... Jak ty mogłaś...

— Przepraszam — powtórzyła — gniewa się pan jeszcze? A może pan mnie już nie chce? — dodała z odbłyskiem swojej figlarnej kokieteryi.

— Każda chwila życia mojego do ciebie należeć będzie... Niewolnikiem twoim będę, Józiu!...

— Nie, nie trzeba! Bo dla niewolnika ja mogłabym być bardzo okrutną i despotyczną panią...

— Wszystko jedno, byleś tylko była moją...

Michnik pochwycił ręce Józi i do drżących ust swych je tuląc, okrywał czułymi pocałunkami.

Dziewczyna biernie, apatycznie niemal oddawała się tej pieszczocie.

Władysław wargi gorące od białych paluszków oderwał i głosem, nabrzmiałym miłością bezmierną pytał:

— Moja? Moja?.. Na zawsze moja?... Prawda?...

Józia nie odpowiadała i spoglądała na niego teraz tak dziwnie, jakby go pierwszy raz widziała przed sobą.

Gdzieś z oddali wiatr przyniósł piosenkę, którą śpiewała sobie przy bydle jakaś pasterka:

„Płynie woda płynie
Szeroko po Wiśle,
Próżno się zalecasz,
Przy innym me myśle!
Co mi po pierścionku,
Jak go z palca zgubię,
Co mi po chłopaku,
Kiedy go nie lubię.
Za tym, co go lubię,
Poszłabym we światy,
Dałabym mu serce
I złociste szaty"...

Józia wyrwała nagle ręce z wiążących je dłoni młodzieńca i odskoczyła w tył. Rysy jej twarzy zmąciły się wyrazem jakiegoś obłędnego przestrachu, a oczy spojrzały bezprzytomnie prawie. I nie widziała nawet przed sobą szczerych, poczciwych, szarych źrenic młodego nauczyciela, ale szły ku niej oczy inne: ciemne, głębokie, magnetyzujące.

Jak fala wierna a powrotna, oblało ją żarem i przenówiło tęsknotą wspomnienie, innych pocałunków i innych słów miłosnych.

Och! Konrad! Konrad!...

Wyciągnęła ręce przed siebie, jakby pragnąc uchwycić złudną marę, która zawisła przed nią w czystem wrześniowem powietrzu.

Michnik zbladł. Odczuł, że pomiędzy nim a Józią stanęło coś wrogiego, obcego.. Przed chwilą miał ją tuż przy sobie — łagodną, dobrą, kochaną, a teraz patrzy na niego tak dziwnie i taka mu się zdaje daleka, jak nigdy przedtem... Nie domyślał się jednak, jakie wspomnienia szarpią sercem dziewczyny — sądził, że zbyt śmiałem swojem zachowaniem spłoszył ją, obraził, rozgniewał...

W jednej chwili był znowu przy niej, ale nie śmiał już nawet dotknąć jej ręki.

— Panno Józiu... Józiu... Pani się gniewa... Byłem za śmiały... Przebacz mi.. daruj... Nie gniewaj się!...

Dźwięk głosu Michnika oprzytomnił Józię. Mara, wspomnienie rozwiało się gdzieś we mgły, a natomiast bardzo wyraźnie zaśmiała się szyderczo i tryumfująco wstrętna twarz Stobińskiego. Wstrząsnęła się dziewczyna, przesunęła ręką po czole, a na pobladłe jej policzki wypłynęły krople łez, jasne, czyste, duże. Temi łzami żegnała Józia tajemne marzenia swoje i nadzieje... Zadecydowała już...

Ruchem serdecznym, miękkim, pokornym prawie, wyciągnęła obie ręce ku Michnikowi.

— Nie, ja się na pana nie gniewam! Za cóż? Pan taki dobry, zacny, poczciwy!... To było co innego... ale już przeszło i... może nie wróci... Panie Władysławie, będę pańską żoną...

— Józiu!... Tak ciągle chłodno... sztywnie... jak do obcego... panie i panie...

— Będę starała się być ci dobrą żoną — powiedziała posłusznie — ale bądź dla mnie pobłażliwy... wyrozumiały... bo ja czasem mogę być bardzo niedobra... zła nawet... Wiedz, że to prawda, co ludzie mówią o mnie, że jestem nieobliczalna i szalona czasem...

— Taką cię kocham, jaką jesteś... Byleś mnie tylko ty kochać chciała...

— Będę się starała...

Władysław nie zwrócił uwagi na te słowa chłodne i powściągliwe, zanadto upojony był szczęściem, które płynęło do niego niespodzianie, kiedy się najmniej spodziewał...

Józia uśmiechała się zupełnie już spokojna, tylko bardzo poważna i skupiona w sobie... W miłości bezgranicznej Michnika widziała cichą, miłą, bezpieczną przystań, która ją obroni przed burzami życia, przed ojcem, przed Stobińskim, a wreszcie przed sobą samą...

— Chodźmy — powiedziała łagodnie — wracajmy do domu. Trzeba powiedzieć wszystko Walczakom, no... i temu panu Stobińskiemu...

— Jeszcze chwilę — prosił Michnik — tak nam dobrze tutaj samym...

— Nie, nie! Idziemy! Chciałabym, żeby tamten wstrętny człowiek jak najprędzej sobie pojechał!... Niech się dowie zaraz, że mam narzeczonego, który mnie obroni i nie odda nikomu!... Prawda?

— Nikomu!...

— Więc chodźmy!

Ufnie wsunęła rękę pod jego ramię i poszli. On promieniejący, upojony szczęściem, ona spokojna i zadumana...

— — — — — — — — — — —

Nocny pociąg unosił pana Stobińskiego z powrotem w stronę Krakowa. Jednostajny turkot kół wtórował niewesołym wcale, splątanym myślom niefortunnego konkurenta do ręki Józi.

Przedział drugiej klasy pusty był, mógł więc Stobiński dowoli miotać się w gniewie, bić ściśniętą pięścią w poduszki kanapy i wyrzucać z ust przekleństwa i groźby. Dławiło go, szarpało nim poczucie bezsilności, boć faktu nie mógł zmienić. On odjeżdżał wyśmiany, wzgardzony, odepchnięty, a Józia pozostała w Zalesinkach z narzeczonym!...

Stobiński stłumił siłą woli głuchy ryk, który rwał mu się z gardła, jak rozwścieklonemu zwierzęciu. Stracił nadzieję przekonania Józi, a z Władysławem, który miał wielce groźną i zdecydowaną minę nie pragnął wszczynać awantury.

Odjechał więc najbliższym pociągiem, ale nie znaczyło to wcale, aby dał za wygraną... Przeciwnie, to, co się stało, podnieciło jeszcze jego upór. Zmysłowa miłość do Józi przechodziła w jakąś drapieżną nienawiść nieokiełznaną chęć zemsty. Stobiński tem silniej, tem namiętniej pragnął zdobyć Józię, aby ją upokorzyć, poniewierać aby ugiąć tę piękną, dumną głowę dziewczęcą i na ustach purpurowych zdusić hardy, pogardliwy uśmiech...

Odpędziła go jak psa, gorzej niż psa!...

— Ona nie zakochała się w tym wiejskim prostaku, w tym chłopskim nauczycielu w źle skrojonem ubraniu i wykrzywionych butach!... I co on jej dać może? Pęcak z grochem i mieszkanie w chałupie... A jednak przyjęła go, bo chce uciec odemnie! Dobrze, dobrze, moja panienko! Nie kochasz mnie — pięknie! Nienawidzisz mnie — cudownie! Brzydzisz się mną — jeszcze lepiej! Obejdę się bez twojej woli i miłości!... Pogadamy sobie o tem, kiedy będziesz moją.. Bo Stobiński nie z tych, co ustępują, przebaczą i zapominają!..

Starał się uspokoić trochę, aby ułożyć sobie chytry plan postępowania z Maliniewiczem. Postanowił, nie tracąc czasu, zaraz rano udać się do radcy i po swojemu rzecz mu przedstawić, zanim Józia zdąży napisać do ojca.

— Przedstawię mu, że córka zlekceważyła jego wolę. Zastraszę że ten hołysz wiejski leci na posag... Tego on się boi jak dyabeł wody święconej. Maliniewicz zawezwie Józię telegraficznie, a wtedy...

Pociąg biegł i biegł, zatrzymywał się na przestankach i w dalszą ruszał drogę, a Stobiński ciągle myślał o tem, co będzie wtedy, kiedy nareszcie osiągnie cel swoich pragnień...

— — — — — — — — — — —

W Krakowie czekała Stobińskiego niemiła niespodzianka. Maliniewicza nie zastał w domu. Służąca powiedziała mu, że pan radca wyjechał do Wiednia i dopiero za kilka dni powróci. Nie pozostawało nic innego, jak tylko uzbroić się w cierpliwość i czekać.

Nareszcie po pięciu dniach Maliniewicz przyjechał z Wiednia... Stobiński, skoro się o tem dowiedział, pobiegł natychmiast, jak tylko mógł najwcześniej. Opuścił nawet lekcyę w gimnazyum.

Radca, który właśnie zamierzał wyjść z domu i naciągał nowe, eleganckie rękawiczki, przyjął go trochę inaczej, niż zwykle... Trochę chłodno i z taką miną, jakby zapomniał o całym planie małżeństwa dla Józi... Stobiński bowiem, pomimo pospiechu, spóźnił się. Uprzedziły go listy z Zalesinek.

— Moje uszanowanie panu — przywitał Maliniewicz gościa z jakimś słodkawym, niewyraźnym uśmiechem. — Proszę, proszę, pan zechce usiąść... Cóż pana do mnie sprowadza o tak wczesnej porze?

Stobiński wpatrzył się w niego zdumiony.

— Jakto, pan radca dobrodziej pyta, co mnie sprowadza? Czy pan radca zapomniał o swojem postanowieniu?...

— Ach! Boże! Tyle się ma różnych kłopotów i interesów na głowie! No tak... tak... przypominam sobie... Pan się chce żenić z Józią... Widzi pan, szanowny profesorze...

— Panie radco, byłem w Zalesinkach...

— W Zalesinkach? — zdziwił się Maliniewicz. — Prawda, wspominał mi pan o tym projekcie... No, nie sądzę, aby to było stosowne... i w dodatku było zupełnie bezcelowe...

— Panie radco! Pan nie przypuszcza, co się tam dzieje!... Panna Józia zlekceważyła pańską wyraźną wolę i samowolnie, bez pańskiej wiedzy, zapewne pod wpływem szkodliwych, obcych wpływów, zaręczyła się tam z jakiemś indywiduum bez stanowiska, pozycyi towarzyskiej, bez ogłady. W dodatku to hołysz bez szeląga, który myśli, że dostanie wielki posag... Przechwala się już nawet wszędzie, że się żeni z bogatą panną Maliniewiczówną!... Ha! ha! ha! Piękny mąż dla pańskiej córki!...

Maliniewicz pozwolił spokojnie Stobińskiemu wygadać się. Z najzimniejszą krwią i najobojętniejszą miną zapalił papierosa i podsunął gościowi papierośnicę.

— No, profesor przesadza trochę... nawet grubo przesadza... To niezupełnie tak jest, jak pan mówi... Józia zaraz po oświadczynach napisała do mnie, poprosiła o pozwolenie i błogosławieństwo... A ten pan Michnik nie jest wcale żadnem indywiduum, ani hołyszem, ale, jak się dowiedziałem z bardzo wiarygodnej strony, ma to być człowiek wielce porządny, przyzwoity, pracowity, nauczyciel na stałej posadzie.

— Panie radco — usiłował wpaść mu w mowę Stobiński, ale radca nie pozwolił sobie przerwać i spokojnie ciągnął dalej:

— Na posag nie liczy, zapewniam pana... Czy sądzi pan, że pannę tak piękną, jak moja córka, jeden tylko człowiek może pokochać bezinteresownie?

— Panie radco! Ja mam pańskie słowo!...

— No tak, moje słowo... Słowo u mnie rzecz święta... Ja go wcale nie cofam...

— A zatem...

— Ależ pan chyba rozumie, że w tym wypadku rozstrzyga sama Józia, a ona nie chce, stanowczo nie chce!... Nie mogę zmuszać dziecko... Trudno, ojcowskie serce... Pan rozumie...

Stobiński spojrzał radcy prosto w oczy, jakby chciał przeniknąć jego myśli. Poznał Maliniewicza na tyle, że nie wierzył ani w jego nagle zbudzoną czułość ojcowską, ani w bezinteresowność.

Wiedział, że ten elegancki, wytworny, przystojny, dobrze zakonserwowany pan, to egoista twardy i nieustępliwy, gotowy każdej chwili zdeptać cudze uczucie dla własnej wygody i przyjemności.

Coś innego być w tem musiało i... było istotnie. Michnik, stosując się do wskazówek Józi, nie obwijał rzeczy w bawełnę. W liście swoim, w którym prosił radcę o rękę córki, jasno, otwarcie i wyraźnie zaznaczył swoją zupełną bezinteresowność materyalną.

Może Maliniewicz odnosiłby się do nieznanego sobie człowieka z pewnem niedowierzaniem, ale przekonał go i wpłynął na ostateczną decyzyę list inny, list, który pisała Amelka Walczakowa.

Młoda kobieta, obok gorących pochwał dla pana Władysława Michnika, umieściła skromną uwagę, że, jeżeli pan radca pozwoli, to ona zatrzymałaby Józię aż do dnia ślubu w swoim domu.

— Nie mam rodzeństwa — pisała Walczakowa — Józię pokochałam jak siostrę i za siostrę ją uważam. Z największą też radością uczyniłabym dla niej wszystko, co w mojej mocy... Wiem, że pan radca bardzo zajęty zawsze, a teraz więcej, niż kiedykolwiek... A mnie tak miło i wesoło mieć Józię przy sobie...

Byłaby to dla mnie uciecha prawdziwa, gdybym się mogła zająć przygotowaniami przedślubnemi dla mojej drogiej Józieńki... Naturalnie starałybyśmy się jak najmniej kłopotać pana radcę drobiazgami kobiecymi i różnymi fatałaszkami, na których mężczyźni zwykle niewiele się rozumieją...

Jednem słowem, Amelka dawała delikatnie do zrozumienia, że, jeżeli pan radca zgodzi się na małżeństwo z Michnikiem, to ona postara się umniejszyć mu nie tylko kłopotów, ale i kosztów.

Maliniewicz nie miał żadnej specyalnej sympatyi do Stobińskiego, to też po otrzymaniu listów z Zalesinek nie namyślał się długo...

Teraz, kiedy wkrótce miał poślubić kobietę światową, wymagającą, piękną i bogatą, zależało mu bardzo na tem, aby Józię jak najprędzej wydać za mąż, było mu to jednak obojętnem, za kogo, byle tylko ów ktoś nie żądał posagu...

Nie widział więc żadnej racyi, aby się narażać Walczakowej, która mu imponowała stanowiskiem towarzyskiem, majątkiem, a zachwycała urodą i wdziękiem. Nie rozumiał, dlaczegoby miał zupełnie niepotrzebnie odgrywać niewdzięczną rolę tyrana i zmuszać Józię do małżeństwa ze Stobińskim, kiedy daleko wygodniej było oddać córkę pod opiekę bogatej właścicielce ziemskiej, bez kłopotów, awantur, skandalu...

— Ostatecznie, gdybym chciał Józkę zmusić — rozmyślał — to ten dyabeł dziewczyna gotowa licho wie, czego narobić... Tak będzie i spokojniej i przyjemniej i bezpieczniej... no i nawet taniej... Nie mogę się wprawdzie kompromitować przed Walczakową. Trzeba będzie Józce posłać coś na tę wyprawę... Ale nie dużo... Dużo nie mogę... Napiszę jej: „Czasy są ciężkie, daję ci więcej, niż mogę“... I niech sobie radzi... To już będzie na szczęście ostatni wydatek...

O szczęściu córki nie pomyślał, serce jego nie zadrgało żywszem uczuciem, nie zabiło lękiem, niepokojem o los jedynego dziecka.

Stobińskiego postanowił Maliniewicz odprawić bardzo uprzejmie, bo instynktownie przeczuwał, że nie dobrze jest mieć wroga w tym małym, niepokaźnym, nadskakująco grzecznym człowieczku.

— Więc pan radca mi odmawia? — wykrztusił jakimś charczącym głosem Stobiński.

— Ależ nie ja odmawiam, drogi panie, tylko moja córka... Cóż pan chcesz, dziewczęta mają swoje różne wydziwisię... Gdyby to odemnie zależało... Sam jestem zmartwiony... Ale cóż poradzę...

Stobiński zerwał się z krzesła i przeszył radcę takim wzrokiem, że Maliniewicz cofnął się i spojrzał w stronę dzwonka. Przezorność ta była jednak zbyteczną. Stobiński umiał panować nad porywami swego gniewu i awantur nie wszczynał nigdy. Teraz więc także ścisnął zęby, wziął kapelusz i bez słowa pożegnania wyszedł z pokoju...

ROZDZIAŁ XII.

Kiedy Hela wróciła w południe ze szkoły zmęczona i głodna, Dorulowa wybiegła na jej spotkanie, prosto od mięszenia chleba widocznie, bo rękawy miała zawinięte wyżej łokcia i ręce oblepione ciastem.

— Panienko — zawołała — ziemniaki już odcedzone... A może panienka usmaży jajecznicy, bo panienka ma gościa...

— Gościa? Kto taki, gosposiu? Może ktoś ze dworu...

— Nie! To jakasi pani przyjechała z koleje... Tako brzydko na gębie, żółto, piegowato i w sobie jakoś „patoręczna“ — dodała ciszej Dorulowa.

Hela pospieszyła do swego mieszkania, otwarła drzwi i wydała okrzyk radosnego zdumienia:

— Kornelka! Przyjechałaś, jak to dobrze...

— Nie spodziewałaś się mnie, prawda? — zapytała ze zwykłym swoim uśmiechem Kornelia Witowtówna, witając się z koleżanką. — Ot tak strzeliło mi coś do głowy, uwolniłam się na jeden dzień i jestem!...

— Doskonale! Pysznie zrobiłaś, ale dlaczego nie pisałaś mi, że przyjeżdżasz, byłabym poszła na stacyę po ciebie.

— Nie chciałam ci robić niepotrzebnego kłopotu, bo sama dobrze nie wiedziałam, czy i kiedy przyjadę.

Inne wprawdzie pobudki kierowały Kornelką, ale nie miała zamiaru zwierzać się z nich Heli.

— Głodna jesteś pewnie? Bo ja okropnie! Apetyt na wsi mam wyśmienity, za dobry nawet na obecne czasy. Zaraz cię poczęstuję wiejskim obiadkiem: kwaśne mleko, ziemniaczki, jajecznica — mówiła Hela, krzątając się po izbie zgrabnie i lekko. — Zapaliła maszynkę, rzuciła na rondelek trochę masła i zaczęła wbijać jaja.

Kornelia, podparłszy głowę ręką, śledziła koleżankę wzrokiem przenikliwym, badawczym, zdała się bystrem spojrzeniem swoich brzydkich, rybich oczu szpiegować każdy jej ruch, każde drgnienie wyrazistej twarzy.

— Co słychać w Krakowie nowego? Opowiadaj!

— W Krakowie? Nic tak specyalnie ciekawego... Ogonki przed sklepami coraz dłuższe, rozporządzeń najrozmaitszych coraz więcej, a damy, które mają dużo czasu, dużo pieniędzy i mało kłopotów, noszą coraz krótsze a szersze spódnice i coraz wyższe buciki...

— Doskonale to określiłaś — zaśmiała się Hela. — A co mówią o wojnie? Czy się prędko skończy? Ja teraz mało czasu mam na czytanie gazet...

— To niewiele tracisz... Kombinacyami na temat wojny zajmują się, jak dawniej, politycy kawiarniani, co oczywiście nikomu nic nie szkodzi... Wiesz, zauważyłam charakterystyczną rzecz: Kilka dni temu byłam w kawiarni; przy jednym stoliku siedzieli cywile i zawzięcie tworzyli plany wojenne i krajali mapę nie tylko Europy, ale całego świata... Obok siedziała grupa oficerów, którzy, sądząc z ich wyglądu, niedawno powrócili z frontu. Jeden miał nawet rękę na temblaku. I wiesz, o czem rozmawiali? O kobietach... Słowo „wojna“ nawet nie padło pomiędzy nimi...

— To zupełnie psychologicznie zrozumiałe!

— Zapewne... I cóżbyś więcej wiedzieć chciała? Spekulanci nasi swojscy i nieswojscy powiedzieli sobie: teraz, albo nigdy!

— Ach to, to i na wsi daje się porządnie odczuwać!..

— Sądzę... I cóż jeszcze? Ano, po staremu, ci co mają pieniądze, bawią się i stroją, a ci, co ich nie mają, klepią biedę... „Eine alte Geschichte“. Chyba masz już dosyć nowin miejskich i...

Spojrzenie Kornelii padło nagle na wiszącą na przeciwległej ścianie lustro, które odbijało postacie obu panien.

Witowtówna przerwała, umilkła... Przeraziła się tej jaskrawej, bolesnej różnicy między piękną twarzą Heli, przypominającą głowy grottgerowskich kobiet i własną brzydotą. Straciła teraz nawet swoją dawniejszą ordynarną świeżość. Zbladła jej burakowa cera, a pozostały jakieś ceglaste plamy, które niezdrowo błyszczały na żółtych policzkach. Wstrząsnął nią szalony, dławiący spazm zazdrości... Przywykła jednak nadto panować nad swemi uczuciami, aby drgnąć i zmienić się miała maska swobodnej, beztroskiej wesołości.

Po chwili zagadnęła spokojnie:

— No, opowiedz mi teraz ty coś o sobie, Helu... Pisałaś, że masz sympatyczne towarzystwo...

— Tak! Bardzo sympatyczne... Proszę cię, jedz, Kornelko!

Hela postawiła przed gościem talerz z dymiącą jajecznicą, a potem sama ze zdrowym apetytem młodości zabrała się do jedzenia.

— Któż to taki?.. Pewno twoje koleżanki-nauczycielki? — indagowała Witowtówna, nie spuszczając oczu z twarzy panny Lidzińskiej.

Helę spojrzenie Kornelii zaczynało męczyć i niepokoić... Nie wiedziała sama, dlaczego, ale było jej jakoś dziwnie nieswojo... Starała się jednak odpowiadać swobodnie.

— Ach nie zdaje mi się, abym się z nauczycielkami tutejszemi zżyć mogła... Takie są jakieś, powiedziałabym, parafiańskie i napuszone, mało inteligentne, a pretensyonalne... Ale pan Michnik nauczyciel.. wkrótce żeni się... bardzo miły człowiek... No i państwo Walczakowie... i pan Ludwik Rażycki...

— Więc pan Rażycki jest tutaj jeszcze?...

— Jest i pozostanie jeszcze jakiś czas... Przedłużono mu urlop...

Oczy Kornelii schowały się szybko pod bezrzęsne prawie powieki.

— Strzeż się go, Helu — powiedziała, uśmiechając się filuternie — to bałamut zawodowy... kobieciarz zawołany...

Przykre drgnienie przebiegło po wargach Heli, ale tylko na chwilę. Roześmiała się...

— Tak wiem, że urwisz był z niego... Sam mi o tem dużo opowiadał...

Kornelia zauważyła doskonale błysk oczu Heli i charakterystyczne słowo: był!

Od niechcenia, niosąc do ust łyżkę, pełną jajecznicy, rzuciła:

— On zawsze o tem opowiada, jeżeli chce kobiecie zawrócić głowę...

Helę coś poderwało. Przestała jeść, odłożyła łyżkę i patrząc Witowtównie prosto w oczy, zapytała jakimś twardym głosem:

— A skąd ty o tem wiesz?...

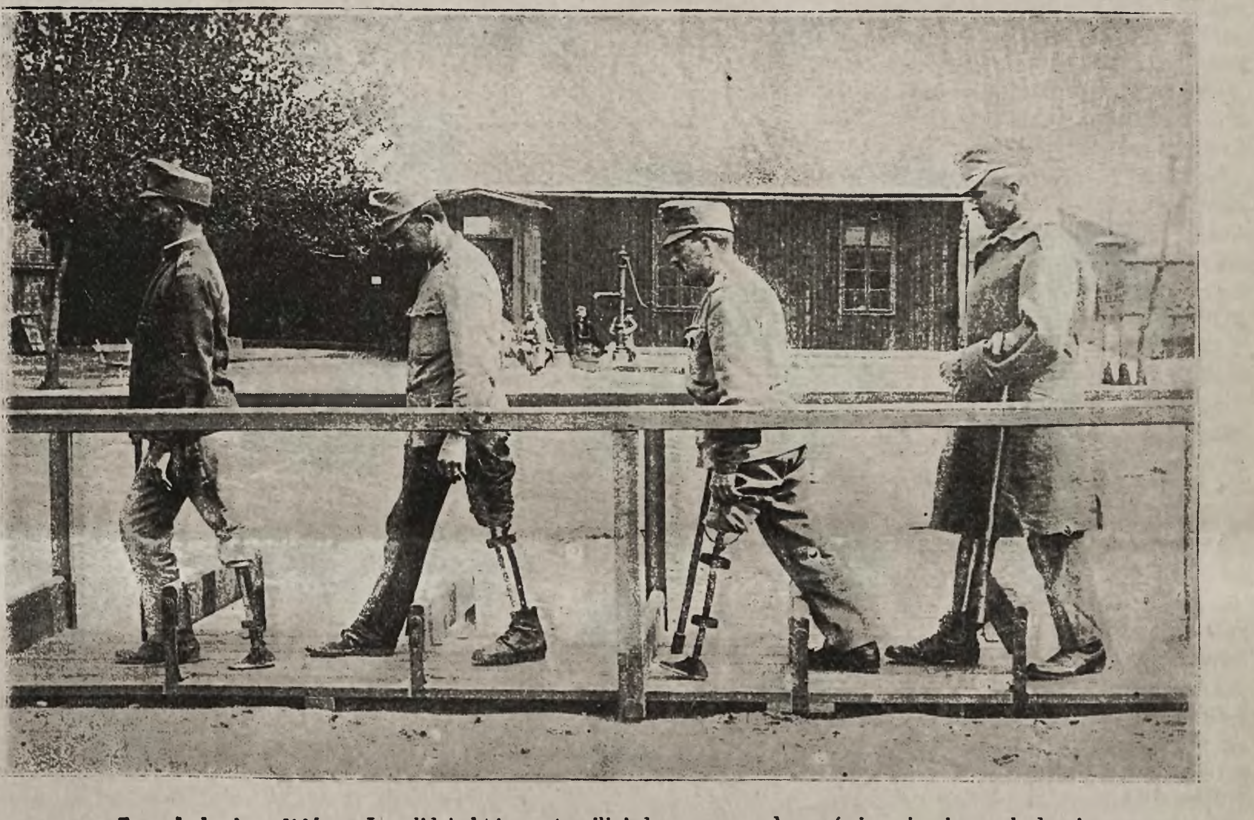
(Ciąg dalszy nastąpi)

Ze szkoły inwalidów.

Niejednokrotnie wspominaliśmy już na łamach naszego pisma o staraniach Komitetu Opieki wojennej, by inwalidom, którzy dzięki starannej opiece lekarskiej przyszli do zdrowia, zapewnić na przyszłość znośny byt i kawałek chleba. Do tego celu dążą Szkoły inwalidów, rozrzucone po całym obszarze monarchii, gdzie pod fachowem kierownictwem wyborowych sił kształcą się oni na pożytecznych obywateli państwa i przyuczają do zawodu, jaki sami sobie wybrali.

Tego rodzaju szkołę posiadamy i w Krakowie, największą przecież i najlepiej wyposażoną jest szkoła w Budapeszcie, z której w niniejszym numerze podajemy kilka bardzo ciekawych zdjęć.

Żołnierz-kaleka, powróciwszy z frontu, dostaje się przedewszystkiem do szpitala, gdzie poddanym zostaje gruntownemu leczeniu. Jeżeli się okaże koniecznem odjęcie którejś z kończyn, czy to ręki, czy nogi, zastępuje się je członkami sztucznymi, czyli tak zwanemi protezami. Z początku, jak zapewniają sami inwalidzi, trudno się jest obejść bez brakującej części ciała, z czasem przecież, przez ciągłe ćwiczenie, tak się można sztuczną ręką lub nogą posługiwać, że nikt, nie wiedzący o tem, nie pozna, że to kawałek martwego drzewa lub żelaza, nie żywego ciała.



Ze szkoły inwalidów: Inwalidzi, którzy stracili jedną nogę, podczas ćwiczenia się w chodzeniu.

Dla inwalidów więc, którzy stracili nogę, urządza się ćwiczenia w chodzeniu. W tym celu zbudowano rodzaj kładki z różnemi przeszkodami, zaopatrzonej w poręcze. Przeszkody te są coraz trudniejsze, chromy inwalida stara się je przecież pokonać i dochodzi z czasem do takiej wprawy, jakiej mógłby mu niejeden zdrowy pozazdrościć.

czują braku naturalnych kończyn, co zaś najważniejsze, że stają się zdolni nawet do pracy fizycznej, przy której bez rąk obejść się nie można.

I tutaj ciągłe ćwiczenie gra główną rolę, odby-

Jedna z illustracyi, jakie podajemy w niniejszym numerze, przedstawia właśnie popis młodego człowieka, mającego zamiast rąk tylko kikuty — wobec zgromadzonych inwalidów. Używanie zupełnie nor-



Obóz wysiedleńców z objętych walką obszarów.



Z frontów bojowych: Pogrzeb zabitego podoficera 16. pułku piechoty obrony krajowej.

Trudniejsza nieco sprawa z pozbawionymi ręki, zwłaszcza prawej, lub nawet obu rąk. I tutaj stosuje się protezy, któremi z czasem inwalidzi potrafią się tak dobrze posługiwać, że zupełnie prawie nie

wają się też bardzo często wobec inwalidów popisy chorych-bezrękich, którzy w używaniu sztucznych członków doszli do takiej perfekcyi, iż zastępują one im zupełnie naturalne.

malne łyżki, widelca i noża przy jedzeniu, to jeszcze drobnostka w porównaniu z zupełnie swobodnem obchodzeniem się z brzytwą przy goleniu. — Wobec licznego audytoryum bezręki kaleka ogolił się spokojnie, nie zacinając się ani razu i nie używając żadnej obcej pomocy.

Rzecz prosta, że używanie protez tylko wówczas jest możliwem, jeżeli chora kończyna, zwłaszcza zaś ręka, nie została zupełnie zniszczoną. Na oko protezy te wyglądają bardzo prymitywnie, z czasem przecież zastąpione będą przez inne, naturalne członki zupełnie naśladujące.

Dopiero wówczas, gdy inwalida stał się już fizycznie zdolnym do rozpoczęcia nauki jakiejś zawodowej pracy, rozpoczyna się wyszkolenie. Rezultaty, dotąd osiągnięte, przeszły najśmielsze oczekiwania, wielu inwalidów mogło się już poświęcić najrozmaitszym zawodom i powrócić w szeregi współobywateli nie jako kaleki żebracy, ale jako pożyteczne jednostki, o własnych siłach zarabiające na kawałek codziennego chleba.



Ze szkoły inwalidów: Młody człowiek, pozbawiony częściowo obu przedramion, goli się bez obcej pomocy wobec żołnierzy-inwalidów.

Parlamentarzysta w służbie Marsa.

Obowiązek ogólnej służby wojskowej nie oszczędza nikogo. Pod sztandary ciągną młodsi i starsi, ubodzy i bogaci, aby w ten sposób złożyć podatek krwi, do którego są obowiązani. Przykra to nieraz konieczność, ale nieunikniona.

W szeregach armii austro-węgierskiej, zmagającej się od lat trzech w tytanicznych zapasach z wrogami kraju na tylu frontach, znalazł się też i znany poseł do austryackiego parlamentu, profesor Jan Zamorski. Przydzielony jako jednoroczny ochotnik



Powitanie dra Rutowskiego we Lwowie: Honorowa kompania Legionów przed lwowskim dworcem kolejowym w oczekiwaniu na przyjazd dra Rutowskiego.

do drugiego pułku obrony krajowej, przebywał dłuższy czas na froncie południowo-zachodnim, skąd właśnie pochodzi fotografia, zamieszczona w niniejszym numerze, a sporządzona, jak sam pisze w liście do swego przyjaciela „tuż po skończeniu morderczej bitwy". Obecnie, jak nas informują, poseł Zamorski dostał się do niewoli włoskiej i niewiadomo gdzie został przewieziony.

Profesor Jan Zamorski przed wyborem na posła parlamentu, dokąd powołało go rzetelne zaufanie wyborców, pełnił obowiązki nauczyciela języka francuskiego w c. k. wyższej Szkole realnej w Tarnopolu. Przez cały czas pobytu na wschodnich kresach oddawał się tutaj pracy społecznej i oświatowej nieraz ponad swe słabe fizyczne siły, nic też dziwnego, że w krótkim czasie stał się jedną z najpopularniejszych osobistości, zwłaszcza dla polskiej ludności włościańskiej, na galicyjskiem Podolu. Od roku 1902 do 1906 był prezesem tarnopolskiego Sokoła, tamtejsze Towarzystwo Szkoły Ludowej ma mu też wiele do zawdzięczenia, on bowiem głównie przyczynił się do obudzenia świadomości narodowej między polską ludnością na wschodzie, potrafił ją zjednoczyć do wspólnej pracy i natchnąć ufnością do „surdutowców", którym wieśniak nasz z zasady nie dowierza.

Za tę pracę i wysiłki spotkała go też zasłużona nagroda. W roku 1907 zaufanie wyborców powołało profesora Zamorskiego do parlamentu, jako posła z okręgu Tarnopol – Kozowa. Zaraz Od tego czasu piastuje tę godność do dnia dzisiejszego i bardzo gorliwie zabiega w sprawach ogółu, który znalazł w nim chętnego, energicznego i bezinteresownego rzecznika. Ferye parlamentarne spędzał poseł Zamorski z zasady w swym okręgu, by pozostać w ścisłym kontakcie z wyborcami i poznać dokładnie ich potrzeby i życzenia. Każdy, czy to w kraju, czy we Wiedniu, mógł być pewnym, że udając się doń w jakimś interesie, nie spotka się z odmową, lecz liczyć może na jego pomoc i poparcie.

Z przekonań narodowy demokrata, ceniony był jako gorliwy pracownik dla dobra ludu i przez inne



Parlamentarzysta w służbie Marsa: Jednoroczny ochotnik, profesor Jan Zamorski z Tarnopola, poseł do austryackiej Rady Państwa.

stronnictwa, a o działalności jego najlepiej świadczy wzmianka w „Wiedeńskim kalendarzu parlamentarnym" mówiąca, iż założył do r. 1907 sto pięć czytelni T. S. L. czterdzieści trzy włościańskie stowa-





Z frontów bojowych:

Krucyfiks w zburzonym przez włoskie pociski klasztorze na Monte Santo pod Gorycyą.

Ruiny miejscowości Craonne na froncie zachodnim, zniszczonej francuskimi pociskami.

rzyszenia gospodarcze, trzy takież związki spożywcze, ośmnaście kas pożyczkowych Związek okręgowy dla tychże instytucyi, oraz trzynaście fili T. S. L.

Aż do chwili wybuchu wojny zajęty pracą społeczną i póżniej także jej nie zaniechał, przerwało ją dopiero powołanie do szeregów.

Z frontów bojowych.

W ubiegłym tygodniu nie przyniosły komunikaty urzędowe żadnych ważniejszych wiadomości, które mogłyby wpłynąć na zmianę położenia. Zapowiad na tak uroczyście przez koalicyę ogólna ofenzywa na wszystkich frontach ogranicza się przeważnie na wzmagającym się chwilowo ogniu artyleryjskim w różnych miejscach i do drobnych potyczek na przedpolach.

Główną przyczyną tego ogólnego zastoju na wszystkich frontach są w pierwszym rzędzie mrozy, stale się utrzymujące i wzmagające się z dnia na dzień. Z okolic nad Renem donoszą, że tam mróz panuje tak wielki, jakiego od lat stu z górą nie pamiętają. Klęska mrozu nawiedziła równie silnie północ Europy, jak i jej zachód i południe, nawet Włochy i Hiszpanię.

Nad rzeką Aa silny mróz, ponad 30° Celzyusza, zatrzymuje wszelkie operacye wojenne, a odosobnione ataki rosyjskie na niemieckie pozycye doprowadziły tylko do krwawych strat nieprzyjaciela. Główną rolę odegrały tu niemieckie karabiny maszynowe, odnosząc sukces zupełny.

Na froncie rumuńskim panuje zima tak ostra, jakiej najstarsi ludzie nie pamiętają. Dunaj i Seret niosą całe zwały lodu, utrudniające, a nawet wprost uniemożliwiające wszelką komunikacyę drogą wodną, gdy i droga lądowa z powodu silnych nadzwyczaj opadów śniegowych jest też nie do użycia. W zmarzniętej ziemi nie można urządzać stałych schronisk,



Z frontów bojowych: Ruiny wsi Rouvres na północny wschód od Verdun, zniszczonej doszczętnie przy zdobywaniu wzgórza 304.

jedynie w śniegu można jeszcze robić lochy, w których chronią się żołnierze. Rumuńskie wojska cofnięto na tyły rosyjskich dywizyi, gdzie je na swój sposób reorganizują rosyjscy generałowie.

W Rosyi zatrzymano cały ruch towarowy i osobowy. Wielkie rezerwy przerzuca się w okolice Galaczu, w szeregach jednak panuje dezorganizacya i zniechęcenie, do czego przyczynia się głównie srożąca się epidemia cholery, która dziennie zabiera tysiące ofiar. Odmrożenia są też na porządku dziennym. Ruch kolejowy z powodu zasp śnieżnych jest bardzo utrudniony.

Na froncie włoskim spadły też ogromne śniegi. We Florencyi leży śnieg na metr wysoko. O wielkiej ofenzywie włoskiej nikt już nie mówi, natomiast bardzo poważną troskę wywołuje spodziewana ofenzywa mocarstw centralnych. W szeregach włoskich rozpuszczono wiadomość, że Hindenburg znajduje się już w Tyrolu i obejmuje kierownictwo, co bardzo ujemnie wpłynęło na zapał wojenny armii i ludności, ostudzony zresztą niebywałymi mrozami i ogólną biedą. W portach włoskich wykryto szeroko rozgałęzioną organizacyę, która zajmowała się wysyłką rezerwistów do Ameryki.

Nie lepiej dzieje się i w północnej Francyi, na froncie francuskim i angielskim, gdzie zwłaszcza różni kolorowi wojownicy, nieprzywykli do europejskich mrozów, padają jak muchy. Od czasu do czasu wybucha też walka z większem nasileniem z wynikiem przeważnie na korzyść Niemców.

Do osłabienia akcyi wojennej przyczyniło się również oczekiwanie, jak przyjmą zerwanie stosunków dyplomatycznych między Niemcami a Stanami Zjednoczonymi państwa neutralne. Wilson, który widocznie chciał dopomódz koalicyi w jej ciężkiem położeniu, tym razem się zawiódł, żadne z państw neutralnych nie przyłączyło się do jego kroku, choć na pewne prawie liczono na Holandyę i państwa skandynawskie i według tego obmyślano plany ogólnej ofenzywy na terenie europejskim. W Azyi, tak na froncie Tygrysu, jak i kaukaskim, niezbyt dobrze wiedzie się koalicyi. Armie tureckie posępują powoli, ale ciągle naprzód.



Kurs handlowy dla Legionistów: Grupa kierowników i uczestników kursu. (Fot. Leg. F. Heilig).

Szkoły polskie na Wołyniu.

Pomimo ciężkich warunków spowodowanych bliskością frontu bojowego społeczeństwo polskie w okupowanych dwóch powiatach Wołynia: Włodzimierskim i Kowelskim wszczęło żywą akcyę oświatową. Dziś we wspomnianej części ziem, do roku 1795 ludność polska poza nielicznemi wyjątkami cała została Dziś na Wołyniu jest 40 — 50% Polaków, na pozostałe odsetki skład ją się Rusini, Żydzi, Czesi i tak dalej.

Ilustracye nasze przedstawiają parę momentów z życia szkół polskich na Wołyniu.



Szkoły polskie na Wołyniu: Grupa dzieci pięcioklasowej szkoły we Włodzimierzu po przedstawieniu „Jasełek".

wchodzących w skład Rzeczypospolitej, istnieje do dwudziestu szkół polskich, w tem jedna pięcioklasowa we Włodzimierzu.

Szkoła ta powstała i rozwija się dzięki zabiegom i pracy prof. Boszczka, włodzimierskiego księdza Andrzejewskiego, T.... górskiego. Prowadzą szkołę SS Maryanki ze Lwowa już drugi rok a im też należy zawdzięczać, że szkoła stale się rozwija. Obecnie liczy ona 275 dzieci, co przy wyludnieniu Włodzimierza (centrum miasta zostało podczas odwrotu rosyjskiego przez nich spalone) oraz małym, jak wszędzie u nas po mniejszych miastach, procencie ludności polskiej jest olbrzymim sukcesem. Szkoły polskie w innych miasteczkach oraz po wsiach cieszą się wielką popularnością wśród ludności i są



Wycieczka artystyczna teatru polowego: Grupa artystów amatorów sceny polowej 16. p. p. obrony krajowej na dziedzińcu „Nowości Illustrowanych".

przepełnione. Gdyby nie brak sił nauczycielskich, szkół tych byłoby znacznie więcej. gdyż zaznaczyć trzeba z wielkim naciskiem, że obecnie ludność polska na Wołyniu, szczególniej w powiecie Włodzimierskim, jest elementem bezwzględnie dominującym, i to nie tylko pod względem siły kulturalnej, ale nawet liczebnie. Wraz z wojskami rosyjskiemi uciekło do Rosyi z górą 75—80% Rusinów, podczas gdy

Wycieczka artystyczna teatru polowego.

Sympatycznych gości mieliśmy w tych dniach w naszej redakcyi. Odwiedzili nas mianowicie artyści i „artystki" (naturalnie w mundurach żołnierskich) sceny polowej 6 pułku piechoty obrony krajowej, o której pisaliśmy w jednym z poprzednich numerów. Nagły ich przyjazd został spowodowany zwykłym na wojnie, lecz chyba jedynym w historyi teatrów wydarzeniem: Moskale przysłali artystom w czasie przedstawienia pięć granatów, które tak uszkodziły budynek teatralny, że musiano na pewien czas przerwać przedstawienia. Nie odebrało to jednak dzielnym synom Marsa i polowej Melpomeny zapału do sztuki... Przymusową przerwę w swej działalności artystycznej na froncie postanowili wyzyskać do podniesienia jeszcze poziomu sceny polowej... Otrzymawszy w nagrodę za swą pracę urlop przybyli do Krakowa, aby zdobyć tu kostyumy do nowych sztuk które ma niebawem wystawić scena polowa... Dzięki tej artystycznej wycieczce teatru polowego — mieliśmy miłą sposobność zetknąć się osobiście z jego najwybitniejszymi przedstawicielami, których grupę zamieszczamy w dzisiejszym numerze. Wśród nich znajduje się p. Stanisław S...szczek, dyrektor, reżyser i dekorator w jednej osobie, p. Franciszek O...szowski, kapelmistrz, oraz czterech amatorów pp. J. Czapka, Czesław G...las, Albin Kusiak i J. Klipstein.. Należy tu zaznaczyć, że nie jest to jeszcze cały personal teatru, który składa się ze smyczkową orkiestrą z dwudziestu osób...

Chcąc zapoznać się bliżej z działalnością tego niezwykłego teatru, zawiązaliśmy rozmowę z dyrektorem...

— Czy udało się panom zdobyć kostyumy?

— A naturalnie. Z listem pułkownika Hohenauera udało mi się przedrzeć szczęśliwie przez wszystkie placówki magistrackie do prezydenta Lea, który wypożyczył nam kostyumy z teatru miejskiego.

— A cóż zamierzacie grać w najbliższej przyszłości?

— Poważniejszy repertuar. Dostaliśmy kostyumy do „Zaczarowanego Koła" Rydla i „Zemsty" Fredry. Zamierzamy także zagrać „Śluby panieńskie". Wprawdzie o panny w rowach strzeleckich nie tak łatwo, ale damy sobie jakoś radę, bo mamy doskonałych artystów do ról kobiecych.. Oto to jest na przykład — dodał p. dyrektor, wskazując na jednego



Szkoły polskie na Wołyniu: Choinka dla dzieci w Przewałach.

z towarzyszów — pierwsza naiwna i urocza uroda — lotek. Chcemy również zagrać „Wesele" — naturalnie, o ile Moskale nie popsują nam znowu naszych planów.

— A jak dotychczas radziliście sobie panowie z kostiumami?

Jak się da lo. Ja na przykład, ile razy przyjechałem na urlop, to zawsze „buchnąłem" żonie coś z garderoby.

Na tem skończyła się rozmowa z artystami sceny polowej, którzy wogóle co do swej działalności teatralnej ujawniali wielką skromność. Dopiero na uwagę, że, bądź co bądź, scena polowa 16 pułku piechoty obrony krajowej, dająca przedstawienia w dymie granatów nieprzyjacielskich, zasługuje na zanotowanie w historyi teatrów i obecnej wojny, jeden z aktorów-żołnierzy rzucił z dumą na pożegnanie:

— Tak jest! Takiego teatru niema z pewnością nigdzie, w żadnem z państw wojujących...

Najzupełniej słuszna uwaga, na którą zgodzą się zapewne wszyscy Czytelnicy.

A. K. Green

Zbrodnia w „Białym Domku"

Tłumaczyła: Marya Segeny.

2

— Co pan mówi? Drzwi nie były zamknięte? Niema w tem nic dziwnego. Pomimo swojej głuchoty, pani Clemmens nie zamykała nigdy drzwi na klucz. Mówiłem jej kilkakrotnie, że odpokutuje kiedy za ten brak ostrożności, ale nigdy posłuchać mnie nie chciała. Nie widać nikogo w pobliżu. — dodał Ormond wyglądając przez drzwi.

— Przypuszczam, że nie jest możliwem, aby morderca uciekł w tamtą stronę. — odparł pan Lord — Ogród jest otoczony moczarami, pełnymi dziur, nikt by się nie odważył awanturować tamtędy. W przeciwnym wypadku miejsce to byłoby bardzo wygodne dla rzezimieszków. Las znajduje się o parę set metrów. Pan coś mówił?

— Nie, ale zdawało mi się, że słyszę jęk jakiś.

— To ja, panie Ormond. — rzekł prokurator — Wydałem mimowolny okrzyk zdumienia, a jest na prawdę czem się wzruszyć. Ta kobieta żyje jeszcze!

— Żyje jeszcze!... — zawołali jednocześnie obydwaj mężczyźni.

— Patrzcie... oddycha... Nędznik, który ją do tego stanu doprowadził, nie dokończył swojego dzieła. Kto wie? Może ona będzie mogła go nam wskazać?

— Wątpię. — odparł Ormond — Uderzenie tak silne, chociaż nie śmiertelne, pozostawia zawsze ślady po sobie. Umysł jej mógł uledz wstrząśnieniu.

— W każdym razie trzeba natychmiast przywołać lekarza. Gdyby tylko doktor Fradvell był w domu!

Tymczasem już tłum zbierał się pod białym domkiem i w chwili, kiedy pan Ormond wychodził do pierwszego pokoju, kilka osób wtargnęło, tłocząc się gorączkowo. Pomiędzy nowoprzybyłymi znajdował się właśnie doktor Fradvell, który natychmiast zajął się ranną.

Przeniesiono panią Clemmens do sąsiedniego pokoju, gdzie położono ją na łóżku i wkrótce drugi lekarz, zawezwany bezzwłocznie, zasiadł obok niej, bacząc na każdy ruch i słowo chorej.

Na rozkaz doktora Fradvell'a, który był równocześnie burmistrzem w miasteczku, zebrana publiczność cofnąć się musiała w głąb ogrodu. Czekano z niecierpliwością na powrót młodego człowieka, wysłanego za poszukiwaniem garbusa, o którym już ogólnie mówiono.

— Zdaje mi się, że jeszcze przedwcześnie jest interweniować w tej sprawie, skoro pani Clemmens żyje jeszcze. — rzekł doktor Fradvell — Starać się będziemy otrzymać od niej jakie szczegóły, ale spieszyć się musimy, bo to kwestya dwóch lub trzech godzin najwyżej. Zanotuję sobie tylko na razie stan położenia. Zwracam panom uwagę, iż spostrzegłem, że w chwili otrzymania ciosu ta biedna kobieta zajęta była nakręcaniem zegara.

Mówiąc to, wskazywał ręką na wielki zegar, zajmujący róg sali jadalnej, którego szkło nie było zamknięte.

— Nie miała czasu dokończyć nakręcania. Widzę, że zegar ten opóźnia się o dziesięć minut podczas kiedy zegarek pani Clemmens wskazuje dobrą godzinę. Została uderzona z tyłu niespodzianie. Gdyby była słyszała kroki napastnika, byłaby się z wszelką pewnością odwróciła i wtedy uderzenie spadłoby z boku. Głuchota jej była w każdym razie sprzyjającą okolicznością dla zbrodniarza. Ciekawy tylko jestem, jaki mógł być powód tej zbrodni? Jeżeli chciano ją zabić w celu rabunku, to dlaczegóż nie zabrano zegarka, który trzymała w ręce? Zwyczajny złodziej nie omieszkałby tego uczynić.

— Czynu tego nie dokonał złodziej zwyczajny.

— Może pan ma słuszność. Wszystko jest możebne. Co zaś do polana, którem się morderca posłużył, to najoczywiściej wziął je z tego stosu, złożonego przy kominku. To jednakże zastanawiające, jak najdrobniejsze szczegóły zgadzają się z przypuszczeniem tego garbusa.

— Kto wie, czy on sam nie jest sprawcą tego czynu? Któż to idzie?

Był to pan Byrd, który z trudnością przecisnął się przez tłum i wchodził do pokoju.

Pan Ferris przystąpił do niego spiesznie.

— No i cóż, Byrd? Czy udało się panu? Czy pochwycono już garbusa?

— Nie, panie prokuratorze. — odparł młody detektyw — Nie udało nam się. Garbus zniknął nam z przed oczu. Ajent Hunter poszedł jeszcze za jego śladem i przyjdzie tu wkrótce zdać raport. Ale za to spotkałem tam u węgła włóczęgę, który przechodził koło białego domku podczas naszej rozmowy.

— Naprawdę? — zawołał pan Ferris tonem lekko ironicznym — Cóż panu każe przypuszczać, żeby on był wmięszany w tą sprawę? Czy może na przekonanie pana wpłynęła uwaga prezydenta, tycząca się podejrzanego wyglądu tego człowieka.

Młody detektyw poczerwieniał z rozdrażnienia.

Nie, panie! — odpowiedział spokojnie — Nie mam zwyczaju budować swoich przekonań na cudzych słowach. Ale gdyby mi pan zechciał opowiedzieć, w jakich okolicznościach i warunkach znaleziono ofiarę, wytłumaczyłbym panu, dlaczego tego włóczęgę uważam za winnego.

— Z przyjemnością. Proszę, niech pan przejdzie na tamtą stronę stołu. Czy widzi pan ten zegar? Pani Clemmens nakręcała go właśnie w chwili, kiedy uderzoną została. Narzędzie zbrodni leży tu, przed panem. Jak pan widzi, to zwykłe polano drzewa, wzięte z tego stosu. A teraz niech pan sobie przypomni słowa garbusa. To miejsce jest bardzo uczęszczane. Widzieliśmy sami wchodzących i wychodzących kilka osób. Broń znaleziono na miejscu. Wszystko się doskonale zgadza. I według mojego zdania byłoby rzeczą niemożebną, żeby ten garbus nie brał udziału w urzeczywistnieniu tak nagłem swojego śmiałego przypuszczenia.

— Czy pozwoli mi pan zadać sobie pytanie? — odparł młody detektyw — Czy według orzeczenia lekarza zbrodnia została dokonaną na chwil tylko kilka przed jej odkryciem?

— Tak jest. Znaleziono w kuchni śniadanie gorące jeszcze, przygotowane przez panią Clemmens, dla pana Ormonda.

— W takim razie — rzekł stanowczym głosem młody detektyw — wystarczy tylko słowo, aby pana przekonać że mordercą nie może być garbus. Znajdował się on już od pewnego czasu na sali sądowej w chwili zawieszenia rozprawy. Wiem o tem, bo sam go widziałem.

— Jesteś pan pewnym tego? — zawołał pan Ferris zaskoczony.

— Najpewniejszy! Siedział tuż przy drzwiach. Postawa jego i rude włosy zwróciły moją uwagę.

— To ciekawe! - mruknął prokurator niezadowolony że przypuszczenie jego okazało się fałszywem.

— To jest nawet do tego stopnia ciekawe — podjął detektyw — że nie uwierzę, aby ten garbus pozostał cały czas w sali. Stąd do pałacu sprawiedliwości jest nadzwyczajnie blizko. Mógł się wysunąć w pewnej chwili, nie będąc przez pana widzianym.

Pan Byrd nie odpowiedział wręcz na tę uwagę.

— Włóczęga każdy — wyrzekł od niechcenia — to najniebezpieczniejsza kasta ludzi.

Prokurator w tej chwili szybkim ruchem ręki zasłonił kilka monet srebrnych, leżących na stole.

— Słuchajno, Byrd! - rzekł poważnie — Przyznać musisz, że włóczęga każdy jest przedewszystkiem złodziejem. Morderca dzisiejszy nie może być wytłumaczony nagłym napadem wściekłości, bo ciało ofiary nie wykazuje żadnej walki. Pani Clemmens nie mogła rozdrażnić swojego napastnika z tej przyczyny, że nie słyszała nawet jego wejścia i została nagle zaskoczona. Pozostaje więc tylko jako motyw kradzież. Czy więc włóczęga, wchodzący dla kradzieży, mógł pozostawić te pieniądze, leżące, tu na widoku?

Pan Ferris równocześnie odsunął się od stołu i wskazał na monety srebrne, na nim leżące.

Detektyw potrząsnął głową, ale nie zdawał się być przekonanym.

— To pewnie jedna z tych anomalii, zdarzających się często — rzekł, uśmiechając się — Może zbrodniarz przeląkł się w ostatniej chwili swojego czynu może mu kto przeszkodził lub co najprawdopodobniejsze, zdawać się mu mogło, że słyszy czyjeś kroki i uciekł, nie wykorzystawszy sytuacyi. W każdym razie włóczęga wydaje mi się bardziej podejrzaną osobistością, niż garbus.

Detektyw, przy tych słowach, skłonił się głęboko przed urzędnikami i oddalił się dyskretnie.

— Ten młody człowiek może ma słuszność — zauważył pan Ferris — ale, co do mnie, wierzę dopiero wówczas, kiedy mam w ręce jaki taki dowód. A nikt mi nie wytłumaczy, że słowa garbusa były rzucone bezmyślnie i bez przyczyny.

Przekleństwo.

Dwie godziny upłynęły, zanim pani Clemmens, strzeżona przez lekarza i jedną ze sąsiadek, odzyskała przytomność umysłu.

Pan Ormond rozmawiał w salonie z prokuratorem, opowiadając mu to, co wiedział o życiu prywatnem wdowy, którą znał już od lat wielu. Jadał bowiem u niej obiady i śniadania codziennie.

W ogrodzie zaś tłum rozciekawiony tłoczył się coraz bardziej gorączkowo, czyniąc różne uwagi i domysły.

— Nie sądzę, żeby wyszła z tego — mówił gruby mieszczanin — kiedy się dostało w głowę takie uderzenie...

— Doktor powiedział, że nie doczeka nocy — zawołała młoda służąca, bardzo zadowolona z posiadania tak ważnej wiadomości.

— W takim razie sprawa tego włóczęgi stanie się jasna — rzucił ktoś jeszcze — prędko się z nim rozprawią.

— Nie można posądzać człowieka na niepewnych podstawach - odparła stara jejmość surowym głosem — Czy widział go kto wchodzącego do białego domku?

— Panna Perkins utrzymuje, że widziała go wchodzącego do ogrodu.

— Musiała widzieć nie tylko jego, bo wiele osób kręciło się dzisiaj tędy.

— Przyszedł także druciarz ze swoim towarem. Pani Clemmens była nawet bardzo rozgniewana na niego i wyrzuciła go za drzwi, grożąc miotłą.

— Nie lubiła nigdy ludzi tego rodzaju.

— Pani Clemmens była żywa, ale serce miała bardzo dobre.

Rozmowa toczyła się dalej. Ale Byrd, oparty o sztachety o kilka kroków od rozmawiających, pomimo natężonej uwagi, nie mógł posłyszeć coś, mającego dla śledztwa jakąkolwiek korzyść.

Nagle zrobił się w tłumie jakiś ruch, po którym nastąpiła cisza zupełna, przerwana donośnym, głosem kobiecym:

— Cóż to się dowiaduję? Pani Clemmens nie żyje? Z mordowana została przez włóczęgę? Czy to być może?

Wszystkie spojrzenia skierowały się w stronę nowoprzybyłej.

Była wysoka, doskonale zbudowana, o postawie dziwnie majestatycznej i budzącej podziw i szacunek.

Młody detektyw został olśniony. Twarz młodej dziewczyny, o regularnych rysach, miała w wyrazie wielkich, szarych oczu i ust dumnie wykrojonych, coś tak pociągającego, że mimowoli spojrzenia wszystkich zatrzymać się na niej dużej musiały. Coś tajemniczego i niepokojącego czaiło się w rysach Beatryczy Darnell. Widniała w niej zagadka, nie dla każdego łatwa do rozwiązania.

W chwili obecnej widocznem było, że silne wzruszenie wstrząsało młodą dziewczyną.

— Dlaczego nikt nie odpowiada? — zapytała po chwili, nie zdając sobie sprawy, że dla osób nie znających jej, postawa jej niepokojąca nie bardzo zachęcała do zwierzeń.

— Mówią, że pani Clemmens nie umarła jeszcze — odezwał się wkońcu chłopak od rzeźnika, odważniejszy od innych.

Cień przemknął po twarzy młodej dziewczyny. Zachwiała się, jak gdyby upaść miała. Wyprostowała się jednak natychmiast siłą woli, zaciskając nerwowo drobne dłonie.

— To okropne! To okropne! - szepnęła — Nic z tego dobrego wyniknąć nie może!

Otrząsnęła się gwałtownym ruchem ramion i nagle zwróciła się do otaczających.

— Czynu tego dokonał podobno jakiś włóczęga? — zapytała.

— Tak mówią. — brzmiała odpowiedź — Żandarmi przychwycili go już.

— Jeżeli policya go pochwyciła, to zapewne jest winnym! — odparła stanowczym głosem miss Darnell, wchodząc do ogrodu.

Pan Byrd, nie zwracając uwagi na szmer, towarzyszący odejściu młodej dziewczyny, pochylił się, śledząc ją wzrokiem, kiedy jakaś stara kobieta, o sępim profilu, podeszła do niego. Coś w wyrazie twarzy starej popchnęło Byrda do zapytania jej:

— Czy znacie tę panią?

— Tak - odparła ostrożnie stara, uśmiechając się złośliwie.

— Może to krewna zamordowanej?

— Nie. Nie zna jej nawet.

Pan Byrd cofnął się do odejścia, ale stara chudą, kościstą ręką, uchwyciła się jego ramienia.

— Mówię, że jej nie zna, bo nie odwiedzała jej nigdy ale poza tem...

Detektyw uwolnił się z rąk starej, ruchem głowy wskazując, że zrozumiał ją.

— Trzeba się tem zająć — szepnął do siebie, udając się do białego domku.

Natychmiast spostrzegł miss Darnell.

Stała na środku salonu, ze wzrokiem utkwionym

w drzwi sali jadalnej, do której pan Ormond widocznie nie chciał jej wpuścić.

— Beatryczo! — mówił adwokat ojcowskim tonem — To nie miejsce dla ciebie. Zgroza tego strasznego wypadku wstrząsnęła nami wszystkimi, rozumiem to, ale po co pozostawać tu dłużej. Powróć do domu i bądź przekonana, że za powrotem do domu opowiem ci wszystko.

Młoda dziewczyna spojrzała zimno na pana Ormond.

— Proszę mi wybaczyć — ale nie mogę się stąd oddalić jeszcze. Nie widziałam miejsca, gdzie pani Clemmens została napadnięta, ani broni, której użyto. Chcę wszystko zobaczyć. Panie Ferris, czy zechce mi pan posłużyć za przewodnika?

Prokurator zawahał się chwilę wobec tak kategorycznie postawionego pytania.

Podszedł jednak do drzwi sali jadalnej i odpowiedział, porozumiewając się wzrokiem z panem Ormond:

— Zobaczę, co powie na to koroner.

Ale miss Darnell nie posiadała na tyle cierpliwości, aby zaczekać. Gwałtownym ruchem usunęła z przejścia adwokata i pospieszyła za panem Ferris.

— Gdzie znaleziono tę biedną kobietę? — zapytała.

Wskazano jej miejsce i wytłumaczono wszystko, czego chciała. Dumna postawa miss Darnell imponowała wszystkim otaczającym, wyjąwszy pana Ormond który wydawał się być zdenerwowanym i niespokojnym.

— I czyn ten popełnił włóczęga? — szepnęła zamyślona miss Darnell, wodząc dokoła roztargnionym wzrokiem.

W pewnej chwili pan Byrd spostrzegł, że zadrżała i postąpiła krok naprzód, jak gdyby chcąc stopą nakryć coś na dywanie.

— Spostrzegła przedmiot jakiś. — zauważył młody detektyw. — Ciekawy jestem, czy będzie mieć odwagę podnieść go z podłogi?

Młoda dziewczyna stała dalej wyprostowana, dumna. Zdawało się detektywowi, że pragnie pytaniami swojemi odwrócić uwagę od siebie.

— Zdaje mi się, że ktoś puka — rzekła nagle, spoglądając w stronę drzwi, wiodących do ogrodu.

Koroner pospieszył otworzyć. Pan Ferris zaś i adwokat Ormond odwrócili się równocześnie. Ale młoda dziewczyna nie ruszyła się z miejsca, musiała czuć na sobie przenikliwy, ciężki wzrok młodego detektywa. Przy drzwiach ogrodu tymczasem nawiązała się żywa rozmowa pomiędzy koronerem a osobą, której dojrzeć nie było można.

— Wracam z więzienia. — mówił głos męski — Włóczęga jest przerażony aresztowaniem. Zdaje mu się, że oskarżają go o złodziejstwo i przyznał się, iż rzeczywiście skradł nakrycie srebrne w kuchni jednego z domów, gdzie mu jeść dano. Przygotowany jest na odsiedzenie kary, ale absolutnie nie zdaje sobie sprawy z ciężkiego oskarżenia, jakie na niego rzucono. Tam, w więzieniu, wszyscy są przekonania, iż jest niewinnym zabójstwa pani Clemmens.

Na te słowa miss Darnell postąpiła szybko ku drzwiom, wydając okrzyk zdumienia. Detektyw skorzystał natychmiast ze sposobności, aby podnieść z dywanu przedmiot, ukryty poprzednio pod nogą młodej dziewczyny.

Wlepiając w pana Ferris spojrzenie, pełne przerażenia i zdziwienia, zawołała zmienionym głosem:

— Co mówi ten człowiek? Jeżeli to nie włóczęga zamordował panią Clemmens, to któż w takim razie?

— Jest to pytanie, na które na razie jeszcze odpowiedzieć nie można. — odpowiedział prokurator, zaskoczony wzruszeniem miss Darnell.

W tej chwili pan Ormond podszedł do niej, ujmując jej rękę.

— Uspokój się, Beatryczo. — prosił — Dlaczegóż denerwujesz się tak sprawą, która cię bliżej nie dotyczy?

Nie zwracając uwagi na słowa adwokata, miss Darnell spoglądała kolejno na pana Ferris i koronera, jak gdyby wyczytać chciała z ich twarzy potwierdzenie myśli okropnej, która ją męczyła.

— Przepraszam panią. — rzekł nagle Byrd, zbliżając się z uszanowaniem — Czy ten pierścień nie do pani należy? — równocześnie podał jej pierścień z przepysznym brylantem.

Widok tego klejnotu w chwili obecnej przyczynił się jeszcze więcej do zainteresowania obecnych. Wszyscy skupili się wokoło młodej dziewczyny, czekając z niecierpliwością na jej odpowiedź.

— Znalazłem to u nóg pani. — dodał jeszcze detektyw głosem zupełnie obojętnym.

Wyjaśnienie to, wymówione swobodnym tonem, podziałało oprzytomniająco na miss Darnell.

— Dziękuję panu serdecznie. — odparła ze sztucznym, uprzejmym uśmiechem — Tak, ten pierścień jest moją własnością. Musiałam go bezwiednie upuścić.

Zauważywszy zdziwiony wzrok pana Ormond, zczerwieniła się lekko i niedbałym ruchem wsunęła pierścień na palec.

Zuchwałość młodej dziewczyny, przywłaszczającej sobie klejnot, nie do niej należący, wzbudziła podziw młodego detektywa. Nie spodziewał się on podobnego rozwiązania scenki, którą opracował tak starannie.

— Nie brakuje jej odwagi! — rzekł do siebie — Powinienem był być na to przygotowanym. Ale co tam! Cóż tam się stało nowego?

Sąsiadka, pielęgnująca panią Clemmens, ukazała się w drzwiach, z twarzą zmienioną i bladą.

— Poruszyła się — szepnęła tajemniczo — i próbowała mówić!

Każdy pospieszył do pokoju, w którym leżała wdowa. Wargi umierającej poruszały się w sposób konwulsyjny i niezrozumiałe dźwięki wydobywały się z jej krtani, w których najwyraźniej dźwięczały słowa, uporne powtarzane:

— Ręka, pierścień...

— Co to ma znaczyć? — szepnął pan Ferris, ale lekarz ręką nakazał mu milczenie.

— Cierpliwości. — rzekł — Może ona powie coś wyraźniejszego.

Śmiertelna cisza zaległa pokój. Długo jeszcze nieszczęśliwa kobieta usiłowała coś wymówić, ale bezskutecznie. Wkońcu bezsilnym ruchem głowa jej opadła na poduszki.

— To początek końca. — zauważył doktor — Wątpię bardzo, aby jeszcze odzyskała przytomność.

Jak gdyby nagle uwolnieni od męczącego natężenia władz umysłowych, pan Ferris, prokurator i detektyw podnieśli głowy. Spostrzegli miss Darnell, opartą o okno otwarte, z oczami spuszczonemi ku ziemi. Pan Ormond przeszywał ją dziwnie przenikliwem spojrzeniem. Adwokat natychmiast odwrócił głowę, przybierając zwykły zimny, obojętny wyraz twarzy. Pan Byrd jednak dostrzegł był to spojrzenie i zdziwiony był i zaciekawiony.

— Coś jest między nimi. — pomyślał — Szkoda, że nie zacząłem ich obserwować wcześniej.

Zanotował sobie jednak w pamięci sztywną i dumną postawę młodej dziewczyny i ruch rąk, zaciskających się konwulsyjnie o parapet okna. Zauważył również, że kiedy podniosła głowę, lęk jakiś się w oczach jej przebijał i niepokój.

Zdziwienie jego wzrosło jeszcze, kiedy po chwili miss Darnell podeszła szybko do adwokata Ormond mówiąc zdławionym głosem:

— Chciałabym powrócić do domu. Nie czuję się dobrze

Pan Ormond, zadowolony z tego postanowienia, podał jej spiesznie ramię, ale, podchodząc do drzwi, miss Darnell odwróciła się niespokojnie.

— Zdaje mi się, że się poruszyła — szepnął równocześnie doktor — może zacznie mówić.

Rzeczywiście szmer niewyraźny, dochodził z miejsca, gdzie znajdowało się łóżko umierającej. Wkrótce zadźwięczały słowa. Lęk zgrozy przeszedł po obecnych. Miss Darnell szybko wysunęła rękę z pod ramienia swojego towarzysza.

— Niechaj... zemsta nieba... spadnie... na tego, który mnie doprowadził do tego stanu. — wymówiła silnie pani Clemmens — Niechaj umrze tak, jak ja umieram, nie znając nawet ręki, która we mnie ugodziła... Śmierć jego... za śmierć m ją...

Dziwne te i straszne słowa rozległy się złowrogiem echem po pokoju. Pani Clemmens już nie żyła. Umarła, wymawiając ostatnie słowa przekleństwa. Wszyscy obecni spoglądali po sobie, bladzi, zmięszani, nie śmiejąc przerwać śmiertelnej ciszy.

Beatrycza Darnell, bezsilnie oparta o drzwi, ze spojrzeniem utkwionem przed siebie, drżała febrycznie, jak gdyby już widziała nad sobą rękę, niosącą karę i zemstę.

Nagle wyprostowała się i nie wymówiwszy słowa skoczyła w ogród, zanim pan Ormond, stojący obok niej, oprzytomniał z doznanego wrażenia.

List.

— Czy mógłbym się pana zapytać, kto jest ta młoda osoba? — zwrócił się detektyw do pana Ferris, wychodząc do przedpokoju.

— To jest miss Beatrycza Darnell. — odpowiedział zniżonym głosem prokurator, oglądając się, aby nie być dosłyszanym przez adwokata. — Jest ona krewną pana Ormond i mieszka w jego domu. Mówią nawet o jakichś projektach małżeńskich między niemi.

— Zaczynam rozumieć. — szepnął Byrd z zainteresowaniem, spoglądając w stronę pana Ormond.

Adwokat był człowiekiem wysokiej postawy, szeroki w ramionach, o ruchach wytwornych i zdradzających wielką swobodę. Z twarzy, o regularnych rysach, biła energia i wielka pewność siebie.

— Miss Darnell zdaje się bardzo interesować tą sprawą. — zahazardował młody detektyw.

— Cóż w tem dziwnego? Kobiety wszystkie są bardzo wrażliwe. — odparł pan Ferris, wzruszając lekko ramionami — Zresztą to dziewczyna dosyć oryginalna, zadziwiająca nawet tych, którzy ją dobrze znają. Trochę przesądna przytem.

— Co jest zwykłą wadą kobiety. — potwierdził pan Byrd.

— Czy panu się zdaje, panie Fradwell — zapytał nagle pan Ormond — że jest tu nas więcej, niż tego wymaga potrzeba?

Mówiąc to, adwokat wysyłał w stronę młodego detektywa niespokojne spojrzenia, ale pan Ferris, zrozumiawszy sytuacyę, wtrącił się natychmiast.

— Pozwól, kochany Ormond — rzekł grzecznie — przedstawić sobie pana Byrda, zdolnego bardzo detektywa z Nowego Jorku, który chętnie ofiarował mi swą pomoc w sprawie, o której dzisiaj mówiliśmy w sądzie.

— Ach, pan jest detektywem — odparł Ormond, kłaniając się zimno — Szkoda wielka, że pan jest już zajęty inną sprawą, inaczej dopomógłby nam do odkrycia mordercy pani Clemmens.

Słowa te były grzeczną odprawą. Byrd zrozumiał intencyę i skłoniwszy się, chciał się już oddalić, kiedy koroner, wychodzący z jadalnego pokoju, podszedł do niego, mówiąc żywo:

— Potrzebnym mi pan będzie, panie Byrd. Proszę, niech pan idzie za mną.

Kiedy znaleźli się w drugim pokoju, doktor Fradwell zapytał:

— Wywołałem pana, aby zapytać, czy zobowiązania obecne nie pozwoliłyby panu zająć się również tą sprawą?

— Nie mogę panu stanowczo odpowiedzieć. — odparł detektyw — Mogę być wolnym jutro, ale zapotrzebować mnie mogą znowu.

— Jeżeli chodzi o pana Ferris, to rzecz tę załatwimy szybko.

— Trzebaby również pozwolenia moich zwierzchników z Nowego Jorku.

— Wyślemy natychmiast depeszę.

Detektyw namyślał się jeszcze.

— Sądzę jednak, że panowie znajdą w miejscu ludzi, zdolnych do prowadzenia tej sprawy, dosyć łatwej zresztą.

— Widzę, że pan ma ciągle na myśli tego włóczęgę — rzekł doktor Fradwell, niezadowolony z oporu młodego człowieka.

— Jestem w każdym razie przekonany, że garbus nie ma nic wspólnego z tym faktem. Ani na chwilę nie opuścił sali sądowej.

— A jednak — odparł poważnie doktor — jakąkolwiek rolę odegrał garbus tu dzisiaj, czy był mordercą, czy też wspólnikiem, lub zdrajcą nawet, który nie umiał zachować tajemnicy — według, mojego zdania sprawa nie jest tak jasna, jak się panu wydaje.

Oto dokument, który znalazłem w szufladzie stołu pani Clemmens. Przekona się pan, czytając, że ta kobieta miała nieprzyjaciół i wiedziała o tem. Przypuszczam na razie jedno, że jeżeli ten włóczęga zamordował ją rzeczywiście, to uczynił to na rachunek innych. Niech pan przeczyta, proszę.

Detektyw wziął papier i czytał głośno:

„Moja kochana Emilo! Nie wiem doprawdy, co mnie popycha do pisania dzisiaj do Ciebie, bo mam wiele zajęcia i chwila na to nie bardzo stosowna. Ale opanował mnie taki smutek i tak głęboki niepokój i to bez przyczyny, że zdaje mi się, że to mi sprawi pewną ulgę.

Odkąd wstałam, wszystko idzie na opak w całym domu. Praczka nie stawiła się w słowie, pieczeń, przysłana przez rzeźnika, nie miała wagi żądanej. Zegar zaś mój, który jest samą punktualnością, zaczął opóźniać się w sposób niewytłumaczony. Wkońcu prześladuje mnie myśl, chimeryczna może, o niebezpieczeństwie, jakie mi grozi. Zawsze o tem myślę, kiedy się nie czuję dobrze. Napróżno tłumaczę sobie, że przecież ludzie inteligentni nie mogą dojść aż do popełnienia zbrodni, chociaż śmierć moja byłaby dla nich zyskiem pożądanym... zdaje mi się ciągle, że ujrzę nagle...

— Rewolwer albo sztylet — szepnął doktor Fradwell, widząc, że Byrd zastanawia się głęboko nad tem zdaniem przerwanem.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z tygodnia.

Regulamin Rady Stanu.

Na czwartem posiedzeniu Rada Stanu uchwaliła regulamin, opracowany przez specyalną komisyę. — Zawiera on czterdzieści cztery artykuły, obejmujące organizacyę oraz przepisy porządkowe i ujmujące kompetencyę i działalność Rady w ściśle określone ramy. Według urzędowego komunikatu, ogłoszonego w pismach warszawskich, regulamin obejmuje następujące punkty:

§ 1. Organami Rady Stanu są:
1) Zebranie ogólne Członków Rady; 2) Wydział wykonawczy Rady Stanu; 3) Marszałek Koronny; 4) Departamenty; 5) Komisye przygotowawcze i 6) Komisarze miejscowi.

§ 2. Zebranie ogólne Rady Stanu jest władzą naczelną nad wszystkimi innymi organami Rady i wszelkie ich uchwały uchylać może.

§ 3. Zebranie ogólne rozpoznaje i uchwala wszystkie sprawy zasadnicze, projekty ustaw, statutów, regulaminów i rozporządzeń, sprawy budżetowe oraz te, które specyalną decyzyą uzna za podległe swej kompetencyi.

§ 4. Zebranie ogólne jest prawomocne, jeżeli w niem uczestniczy większość członków Rady. — Przewodniczy mu Marszałek Koronny lub wicemarszałek.

§ 5. Posiedzenia zebrania ogólnego zwołuje Marszałek Koronny, bądź w terminach stałych, przyjętych przez Radę, bądź w miarę uznanej przez się potrzeby, albo na żądanie jednego z komisarzy rządowych, trzynastu członków Rady lub trzech członków Wydziału Wykonawczego. Zaproszenia na posiedzenia winny być doręczone członkom Rady Stanu wraz z porządkiem dziennym w miejscu zamieszkania, obranem w Warszawie. Członkowie Rady, nie przybywający na posiedzenie, winni usprawiedliwić swą nieobecność.

§ 9. Wszystkie kwestye w zebraniu ogólnem Rady decydowane będą prostą większością głosów obecnych, z wyjątkiem ustawy konstytucyjnej oraz ustawy o Sejmie, dla których przyjęcia potrzebna będzie większość dwóch trzecich głosów obecnych na zebraniu ogólnem członków Rady Stanu i przytem nie mniej, niż trzynaście głosów. W razie równości głosów, zawsze głos przewodniczącego przeważać będzie. Głosowanie w zebraniu ogólnem odbywa się jawnie. Głosowanie tajne zarządzone być może z decyzyi Rady. — Wszelkie wybory dokonywane będą prostą bezwzględną większością i zawsze przez głosowanie tajne.

Artykuły następne, aż do 14-go mówią o formalnościach obrad.

§ 14. W braku specyalnej decyzyi ogólnego zebrania lub Wydziału Wykonawczego, o porządku kowaniu uchwał i przebiegu rozpraw Rady Stanu stanowi Marszałek Koronny.

§ 16. Wydział Wykonawczy wprowadza w czyn uchwały ogólnego zebrania Rady Stanu i pod nadzorem tegoż zebrania zawiaduje całą organizacyjną i administracyjną działalnością Rady, w ramach obowiązujących ustaw i rozporządzeń. W szczególności Departamenty Rady Stanu pracują pod bezpośrednim kierunkiem Wydziału Wykonawczego.

§ 17. Wydział Wykonawczy składa się z Marszałka Koronnego, wicemarszałka i siedmiu członków, przez Radę Stanu ze swego grona wybranych. — Członkowie Wydziału Wykonawczego, z wyjątkiem Marszałka Koronnego, są dyrektorami poszczególnych Departamentów.

§ 19. Wydział Wykonawczy rozstrzyga samoistnie w przedmiotach bezpośredniej akcyi organizacyjnej i administracyjnej; w przedmiotach ustawodawczych, lub też w kwestyach zasadniczych Wydział Wykonawczy referuje do ogólnego zebrania Rady Stanu; może się też odwołać do ogólnego zebrania w każdym wypadku, gdy tak postanowi. Wydział Wykonawczy porozumiewa się w imieniu Rady Stanu z rządami okupacyjnymi za pośrednictwem Marszałka Koronnego lub członków Rady Stanu, upoważnionych do tego przez Wydział Wykonawczy. Otrzymane od tychże komisarzy wnioski, bądź sam załatwia, bądź oddaje do rozpoznania Departamentom lub komisyom specyalnym, albo też przedkłada ogólnemu zebraniu Rady Stanu.

§ 21. Marszałek Koronny jest przewodniczącym Rady Stanu i jej przedstawicielem na zewnątrz. Do czasu wyboru panującego lub regenta, jest też zwierzchnim wyobrazicielem polskiej władzy państwowej, reprezentującym ją tak na zewnątrz, jak i na wewnątrz państwa. Pod jego strażą znajduje się pieczęć Rady Stanu. — Przewodniczy z urzędu w ogólnem zebraniu Rady, w Wydziale Wykonawczym oraz w tych komisyach, w których przewodnictwo jego jest regulaminowo ustanowione.

Komunikuje komisarzom rządów okupacyjnych postanowienia Rady Stanu, współdziałania lub akceptacyi rządów okupacyjnych wymagające.

Departamenty. Celem zawiadywania poszczególnemi działami pracy, utworzonych będzie w Radzie Stanu ośm departamentów, a mianowicie: I. Departament Wojny; II. Departament Skarbu; III. Departament Spraw politycznych; IV. Departament Spraw wewnętrznych; V. Departament Gospodarstwa społecznego; VI. Departament Pracy; VII. Departament Sprawiedliwości; VIII. Departament Wyznań religijnych i oświecenia publicznego.

§ 25. Każdy Departament spełnia we właściwym sobie zakresie następujące zadania: *a)* opracowuje na zlecenie Wydziału Wykonawczego projekty ustaw i rozporządzeń; *b)* wydaje na zlecenie Wydziału Wykonawczego opinie o takichże projektach, sporządzanych poza Departamentem; *c)* zajmuje się w granicach kompetencyi Rady Stanu organizacyą i administracyą odnośnych gałęzi służby publicznej.

Organizacya Departamentu Wojny ul ga zatwierdzeniu Naczelnego Komendanta Wojskowego mocarstw sprzymierzonych, upoważnionego do tworzenia wojska polskiego. Do czasu zaś zorganizowania tego Departamentu, załatwia jego sprawy specyalna Komisya wojskowa, wybrana przez ogólne zebranie Rady Stanu.

§ 27. W każdym Departamencie tworzy się stała Rada Departamentu. Do składu tej Rady wchodzą członkowie Rady Stanu, którzy swoją w tym względzie gotowość zgłoszą, oraz osoby kompetentne, do grona członków Rady Stanu nie należące, zaproszone przez Wydział Wykonawczy, za zgodą dyrektora właściwego Departamentu. Ogólną liczbę członków Rady oznacza Wydział Wykonawczy.

§ 28. Rada Departamentu Wyznań religijnych i Oświecenia publicznego składać się będzie, oprócz osób, na ogólnej zasadzie powołanych, także i z przedstawicieli wyznań, a mianowicie: z dwóch delegatów episkopatu katolickiego, jednego delegata konsystorza ewangelicko augsburskiego, jednego delegata konsystorza ewangelicko-reformowanego i jednego delegata krajowej gminy żydowskiej. Przy rozstrzyganiu w Radzie Departamentu spraw, dotyczących danego wyznania, delegaci innych wyznań głosu nie mają.

§ 29. Rada Departamentu wydaje swoją opinię o wszelkich sprawach natury ogólnej, wchodzących w zakres działalności danego Departamentu, rozpoznaje projekty ustaw, statutów i rozporządzeń oraz wnioski, przedstawione jej przez Dyrektora Departamentu.

§ 30. Dyrektor Departamentu, przez Wydział Wykonawczy ze swego grona na to stanowisko desygnowany, przedstawia Wydziałowi Wykonawczemu opinie Rady Departamentu wraz z własnym wnioskiem, reprezentuje Departament w Wydziale Wykonawczym i na ogólnem zebraniu Rady Stanu oraz zawiaduje sprawami Departamentu pod własną odpowiedzialnością.

§ 31. Wicedyrektor mianowany będzie na wniosek Dyrektora Departamentu przez ogólne zebranie Rady Stanu; wicedyrektor zastępuje Dyrektora w razie jego nieobecności i wówczas też referuje na Wydziale Wykonawczym interesy Departamentu. Z tego powodu będzie obecny, bez głosu stanowczego, na posiedzeniu Wydziału Wykonawczego w czasie rozpatrywania interesów, jego Departamentu doty czących, oraz bierze stały udział w posiedzeniach Rady Departamentowej. — Pod specyalnem zwierzchnictwem wicedyrektora znajduje się kancelarya Departamentu.

§ 36. Projekty ustaw i rozporządzeń będą oddawane przez Wydział Wykonawczy do uprzedniego zbadania odnośnym Departamentom.

O ile opracowanie tych projektów wymaga szczególnych kompetencyi i studyów, tworzone będą specyalne Komisye przygotowawcze.

§ 37. Na jednem z pierwszych posiedzeń, plenum Rady Stanu zamianuje Komisyę do przygotowania projektu Sejmu i stałej Konstytucyi państwowej. Przewodniczącym w tej Komisyi będzie Marszałek Koronny, a jego zastępcą Członek Rady Stanu z wyboru ogólnego zebrania Rady Stanu.

§ 38. Do czasu zorganizowania systemu administracyi lokalnej, Wydział Wykonawczy mianować będzie, za zgodą władz okupacyjnych, Komisarzy miejscowych po powiatach i większych miastach. Osobny regulamin określi ich kompetencyę.

§ 39. Członkowie Rady Stanu są urzędnikami Korony Polskiej i winni pracę w Radzie Stanu stawiać na pierwszym planie. Innym zajęciom stałym mogą się oddawać za wiedzą Rady Stanu. Nie są w Radzie Stanu przedstawicielami stronnictw ani organizacyi i nie mogą się do ich zdania odwoływać. Członkami stronnictw mogą pozostać jedynie *pro foro interno*, nie mogą zaś brać udziału w walce partyjno-politycznej na zewnątrz. Winni też powstrzymać się od krytycznej oceny na zewnątrz Rady Stanu i podległych jej organów. Obowiązani są do zachowywania tajemnicy służbowej i co do przebiegu obrad, z wyjątkiem wypadków, w których obowiązek zachowania tajemnicy będzie uchylony.

Polskie ministeryum.

Według uchwalonego regulaminu Wydział Wykonawczy Rady Stanu odpowiada gabinetom ministrów w istniejących państwach, a poszczególni jego członkowie są kierownikami departamentów (ministeryów). — Na jednem z ostatnich posiedzeń Rady Stanu nastąpiło objęcie departamentów przez członków Wydziału Wykonawczego, mianowicie powierzono:

Departament Skarbu p. Dzierzbickiemu.

Departament Spraw politycznych hr. W. Rostworowskiemu.

Departament Spraw wewnętrznych p. M. Łempickiemu.

Departament Gospodarstwa społecznego p. S. Janickiemu.

Departament Pracy p. W. Kunowskiemu.

Departament Sprawiedliwości p. S. Bukowieckiemu.

Departament Wyznań religijnych i oświecenia publicznego p. J. Pomorskiemu.

Na stanowisko wicedyrektora Departamentu Sprawiedliwości mianowano p. Wacława Makowskiego; na stanowisko wicedyrektora Gospodarstwa społecznego p. Antoniego Kaczorowskiego; na stanowisko wicedyrektora Departamentu Pracy p. Feliksa Turowicza.

Jak widzimy z tego zestawienia, jedynie Piłsudski nie objął dotychczas Departamentu Wojskowego. Sprawy wojskowe do czasu utworzenia Departamentu załatwiać będzie komisya wojskowa, w skład której wchodzi także i Piłsudski.

Koalicya wobec sprawy polskiej.

Wobec proklamowania niepodległej Polski przez państwa centralne i w koalicyi zaczyna się rodzić przeświadczenie, iż sprawy polskiej nie da się już usunąć z widowni politycznej jako „wewnętrzną sprawę rosyjską". Świadczą o tem głosy, jakie notują teraz coraz częściej pisma codzienne. Jako obiaw wielce znamienny podajemy tu kilka ostatnich informacyi.

Jak wiadomo, w dniu 25. zeszłego miesiąca car zarządził, by do obrad nad sprawami polskiemi utworzono specyalną komisyę pod przewodnictwem prezydenta ministrów, do której należeć mają: minister wojny, minister spraw wewnętrznych, minister spraw zagranicznych, minister finansów, szef sztabu generalnego, prezydenci dumy i rady państwa i szereg specyalnie wymienionych osobistości.

Jak donosi obecnie agencya Havasa, car polecił komisyi tej przygotować podstawę przyszłej organizacyi wolnej Polski i jej stosunku do cesarstwa rosyjskiego.

Również i w Londynie zaczynają zajmować się więcej sprawą polską. Jak donoszą z Hagi, w stolicy Anglii powstaje nowe czasopismo, poświęcone sprawie polskiej, „The polish review". Wydawcą jest J. H. Harley. Pismo zamieszczać będzie artykuły Polaków i Anglików. Na pierwszym planie — ustrój i organizacya przyszłej Polski.

Znamienny jest także artykuł paryskiego „Matin" pod tytułem i zaczynający się od słów: „Vive la Pologne, monsieur!" Okrzyk ten przypomina sobie każdy. Wzniósł go w czasie zwiedzania wystawy paryskiej przez cara Aleksandra II wybitny ówczesny adwokat i polityk, Floquet. „Matin" podnosi, że dzisiaj krzyczą ze wszystkich stron w całym świecie: Niech żyje Polska!

Tak woła Francya, tak woła Rosya, tak woła prezydent Stanów Zjednoczonych, tak woła Austrya i tak wołają Prusy!

Autor artykułu zastanawia się w dalszym ciągu, skąd się wzięły te nagłe sympatye dla Polski, zastanawia się, jakie sympatye są dawniejsze, jakie trwalsze i jakie szczersze.

Obok artykułu tego pomieszczono emblemat polski z polskim białym orłem.

Kronika tygodniowa.

Uczono mnie swojego czasu w szkole, iż jaskółki odlatują od nas na zimę na południe i późną wiosną stamtąd wracają, nie mogło mi się więc pomieścić w mózgownicy, na jakiej podstawie jaskółki pokojowe dążą do nas od zachodu i na wędrówkę swą obrały zimę.

I pokazało się, że miałem racyę, głębiej się nad tem zastanawiając, pan Wilson bowiem, który miał ochotę odegrać rolę ojca Noego, sprawił nam niespodziankę nieladą. Ta tylko między nimi różnemi, iż Noe, gdy mu się już sprzykrzył pobyt w arce, gdzie nabawił się morskiej choroby, wypuścił przez lufcik gołębicę, a ta powróciła z różdżką oliwną w dzióbku, pan Wilson natomiast wypuszczał z Białego Domu w Waszyngtonie różne orędzia i noty, zyskując sobie przydomek orędownika pokoju, aż nagle skręcił koziołka i okazał nam drugie swoje oblicze, wojenne, zrywając stosunki dyplomatyczne z Niemcami, gdy one zapowiedziały rozpoczęcie zaostrzonej walki łodziami podwodnemi i blokadę wybrzeży, by w ten sposób odciąć państwa koalicyi od możności komunikowania się z resztą świata. Niemcy odpłaciły więc entencie pięknem za nadobne. Dotąd ona pracowała nad tem, by uniemożliwić Niemcom i Austryi dowóz potrzebnych artykułów z zagranicy. Nawet państwa neutralne musiały uledz Anglii, grającej w tym koncercie pierwsze skrzypce, a pan Wilson siedział zupełnie cicho i nie zabierał głosu w obronie cywilizacyi i ludzkości. Teraz, gdy tę samą metodę stosują Niemcy i Austrya wobec państw koalicyi i popierających ją państw neutralnych, pan Wilson odezwał się, przypominając sobie, że pogwałcono prawa międzynarodowe i wyrządzono krzywdę, zwłaszcza neutralnym.

Czy pan Wilson miał racyę?... Jedni mówią tak, drudzy nie, ja oświadczam się za tymi pierwszymi. Spyta może kto, dlaczego?.. Zaraz mu odpowiem!

Obecna wojna prowadzona jest pod znakiem interesu, a względy kupieckie główną tu rolę odgrywają. Anglia, nie mogąc znieść konkurencyi Niemiec i przeczuwając, że prędzej czy później straci na ich rzecz swe najważniejsze rynki handlowe zamorskie, parła do niej całą siłą pary, a równocześnie potrafiła złudnemi obietnicami zjednać sobie zwolenników, a nadto wmówić w świat, że wyciąga miecz z pochwy jedynie w obronie europejskiej kultury przed niemieckiem barbarzyństwem. Dziś ci zwolennicy, jedni już na emeryturze, drudzy na nią czekający, żałują, że dali się tak łatwo wziąć na lep. Ale trudno, co się już stało, odstać się nie może, a kto powiedział „a", musi powiedzieć „b". Francya także zmuszoną była pójść ręka w rękę z Rosyą, gdzie ma ulokowane grube sumy na bardzo niepewnej hipotece, musiał się także zgodzić na przystąpienie do owej spółki z nieograniczoną poręką i król włoski, gdy mu obiecano złote gruszki na wierzbie i skórę z barana, choć ten baran jeszcze żyje!... Zresztą tak kazała mu żona, a on jest jej posłuszny.

Pan Wilson, prezydent wielkiego przedsiębiorstwa handlowego, zwanego inaczej Stanami Zjednoczonymi, które również materyalnie zaangażowało się po stronie koalicyi, ogłosił z początku neutralność, pojmowaną bardzo praktycznie. Do walki się nie mieszał, sprzedawał jednak na prawo i lewo najrozmaitsze materyały wojenne, ale tylko Anglii i jej przyjaciołom, nie widząc w tem żadnego naruszenia praw międzynarodowych. Od czasu do czasu zabierał też głos w różnych sprawach, a musiano go słuchać i wolę jego respektować, gdyż Stany Zjednoczone to przecież najpotężniejsze mocarstwo z neutralnych. Anglia i jej sprzymierzeńcy gwałcili na każdym kroku prawa międzynarodowe, on tego jednak nie widział, mimo, iż nosi monokl, a może właśnie dlatego Ale ten spokój trwał tylko do chwili, dopóki Ameryka mogła robić dobre interesy na wojnie europejskiej, boć głupim musiałoby się nazwać kogoś, kto nie chciałby zarobić, gdy pieniądze same cisną mu się do kieszeni. Ale widocznie i jemu się sprzykrzyło, zaproponował więc, że możnaby już wojnę skończyć, gdyż Ameryka ma już dość pieniędzy, ale zdaje się, sam swych słów nie brał na seryo. Świat mu uwierzył, Wilsona uznano rychło za anioła pokoju, a jego noty i orędzia za jaskółki pokojowe, dążące do nas od zachodu...

Lecz nagle wszystko się zmieniło, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, a to od chwili, gdy przez zarządzenia mocarstw centralnych interesy w pierwszym rzędzie koalicyi, a potem i Ameryki, która straci w ten sposób miejsce zbytu dla swych wyrobów, zostały poważnie zagrożone. Jeśli Niemcy nie dopuszczą do brzegów Europy statków neutralnych, więc między nimi i amerykańskich, handel tamtejszy poniesie szkodę, złoto przestanie płynąć! Trzeba więc radzić!... Zamiast jednak wpłynąć na koalicyę, by ona spuściła nieco z tonu i przyjęła propozycye mocarstw centralnych, obrał inną drogę, ogłosił się zdeklarowanym jej zwolennikiem i opiekunem i zerwał z Niemcami stosunki dyplomatyczne, choć one zapowiedziały, że odtąd będą postępować tak, jak dotąd kcalicya, a zwłaszcza Anglia postępowała!.. Ale, co wolno wojewodzie... Ameryka ma przecież zaangażowane kapitały nie w Niemczech lub Austryi, lecz w Anglii, Francyi i u ich przyjaciół, więc też musi raz otwarcie wystąpić po ich stronie. I dobrze zrobił pan Wilson, iż zdjął maskę i pokazał swe właściwe oblicze. Ogłasza się dziś obrońcą uciśnionych, z czem mu jest bardzo do twarzy, zwłaszcza, że pochodzi z rodziny irlandzkiej, a wiadomo, jak błogosławiony żywot pędzą jego rodacy pod berłem angielskiem!... Ale trudno!... Interes tego wymaga, a obecna wojna prowadzoną jest pod znakiem interesu. Nuż się Niemcy przelękną i ustąpią, wówczas duch, który dziś poszedł w pięty, wstąpi i w koalicyę!

Miał więc racyę pan Wilson, jeśli ze stanowiska handlowego zapatrujemy się na jego krok, a to dziś grunt, co bowiem mówi się o ludzkości, kulturze i tym podobnych przestarzałych rzeczach, to tylko proste kpiny! Wszak Anglia w ten ton się odzywa, a zapomina o Indyach i Irlandyi... A Rosya może kulturalniejsza?... Za nią mówią szubienice i lody Sybiru.. Może też nie podoba się komu Francya, głosząca równość, wolność i braterstwo, a całująca z pokorą łapę moskiewskiego niedźwiedzia?... Tak! Dziś świat żyje samą blagą, a jego jedynym bożkiem jest tylko złoty cielec, dla którego gotów wyrzec się wszystkiego, nawet własnej godności.

I zerwał pan Wilson stosunki dyplomatyczne z Niemcami, wzywając równocześnie wszystkie inne państwa neutralne, by postąpiły tak, jak i Stany Zjednoczone, bo, choć Niemcy mają robić tylko to, co dotąd robiła Anglia i spółka, teraz dopiero narażone być mogą interesy amerykańskie. Z tego widać, że *„si duo faciunt idem, non est idem!.."*

Państwa neutralne, sterroryzowane już przez Anglię, nie dały się przecież wodzić za nos i odpowiedziały jednozgodnie, że o losach swoich będą same decydować, obchodząc się bez amerykańskiego pośrednictwa, na którem mogłyby wyjść najgorzej. Wobec tego zrzedła nieco mina panu Wilsonowi i na razie nie wypowiedział Niemcom wojny, choć się tego spodziewano. Przyszły bowiem refleksye. Przypomniał sobie, że za plecami ma Japonię, która z ogromnym apetytem patrzy na zachodnie wybrzeże Stanów i na razie zadowoliłaby się nawet Kalifornią. A Japończyki to niegłupi naród! Na obecnej wojnie zrobili już dobry interes, nie pogardzą więc i dalszym ciągiem. Im zresztą wszystko jedno, czy mają ekspanzyę swą kierować na wschód, czy na zachód... I to, zdaje się, wpłynęło również na uspokojenie amerykańskich nerwów.

Ale jaka z tego korzyść dla nas, niech mi kto powie?.. Chcieliśmy już wierzyć ostatniej przepowiedni pani Thèbes, że rok 1917 będzie końcem wojny, tymczasem widzimy, że się na to nie zanosi wcale. Dziś pokazuje się, że nie można wierzyć nikomu, nawet samemu sobie.

Przekonałem się o tem z racyi święta Matki Boskiej Gromnicznej. Stara przepowiednia mówi, że niedźwiedź, śpiący w Karpatach, w dniu tym budzi się ze snu i wystawia nos na świeże powietrze. Jeśli poczuje mróz, wali swą budę i wybiera się na wojaż, bo zima się kończy, jeśli zaś przekona się, że odwilż, wraca z powrotem do legowiska i układa się do snu z powrotem.

Tak miało być przynajmniej dawniej, choć z żadnym niedźwiedziem o tem dotąd nie mówiłem.

W roku bieżącym stało się przecież inaczej. W dzień Matki Boskiej Gromnicznej był mróz, zacząliśmy się więc cieszyć, że ustaną mrozy, dokuczające nam już prawie od miesiąca. Spotkał nas przecież zawód. Tydzień już minął od „Gromnicy", drugi się nawet kończy, a mróz, jak nie chciał popuścić, tak trzyma i z dniem każdym staje się nawet większym Kto temu winien?... Przypuszczam, że albo autor przepowiedni, który ot tak, na wiatr powiedział coś sobie, albo może i niedźwiedź, który przyswoił sobie nie znał i nie raczył się doń zastosować. (Niesłuszne narzekanie! W chwili, gdy kronika idzie na maszynę, mróz zelżał już!... przyp. zecera).

Albo druga przepowiednia, także nie rokująca spełnienia się w tym roku, choć do niego się odnosząca. Całe szczęście, że przeznaczoną jest i na rok następny, kto więc cierpliwy, może się doczeka jej ziszczenia.

Jak jedno z pism niemieckich i to poważnych donosi, w pewnym bardzo starym, ale niewiadomo, gdzie się znajdującym rękopisie wyczytał jakiś badacz następującą przepowiednię na rok 1917. i 1918:

„Starzy ludzie nie będą ani mrukliwi, ani kłótliwi, ani skąpi; dziewczęta nie będą ciekawe, młodzieńcy będą skromni i mówić będą mało, cicho i w odpowiedniej chwili; oblubieńcy nie będą wydawali dwu trzecich posagu na ucztę weselną; starzy małżonkowie znosić będą wzajemnie swoje wady; niewiasty w ubiorach mniej liczyć się będą z modą, więcej zaś z tem, z czem im jest do twarzy; kumoszki mówić będą o swoich sąsiadkach tylko dobrze, kokietki, które chcą podobać się wszystkim mężczyznom, zaliczać będą do nich i własnych mężów; uczeni nie będą mówili głupstw, roztropni nie będą ich popełniali; adwokaci nie będą nadal gmatwali procesów, sędziowie spać będą tylko w nocy; kupcy sprzedawać będą tylko o trzecią część za drogo; wino fabrykować się będzie tylko w jesieni i to z winogron, dolewać do niego wodę będzie się tylko przy stole; bogaci będą ludzcy, biedni pracowici; każdy będzie zadowolony ze swego stanu, wszyscy ludzie jednego stanu lub zawodu kochać się będą wzajemnie".

I na tem koniec!... Jakże jednak pomylił się autor owego rękopisu, bardziej nawet, niż wyżej wspomniany niedźwiedź, który nas tak szpetnie zawiódł... Nie traćmy przecież nadziei, wszystko jeszcze może się ziścić, jeśli nie w tym roku, to w przyszłym. Jaki to cudowny i prawdziwie sielankowy będzie widok i jak serca budujący, gdy po skończonej rozprawie dwaj adwokaci, zastępujący obie procesujące się strony, wzajemnie dadzą sobie buzi!... Klient, wygrywający spór, nie tylko nie będzie potrzebował dopłacić adwokatowi, jak się to dziś zazwyczaj dzieje, ale kapnie mu coś jeszcze z jego pretensyi.

Obyśmy tego doczekali, życzę Szanownym Czytelnikom i samemu sobie. Nie jest jednak wykluczonem, że, ze względu na toczącą się obecnie wojnę, spełnienie się przepowiedni będzie musiało być odłożonem na czasy pokojowe.

I tu więc wojna daje się we znaki... Przez nią nawet przepowiednie się nie spełniają. Inaczej to bywało za owych dawnych, lepszych czasów, kiedy słoninę dawano jako przynętę dla myszy i nie znano kartek tłuszczowych.

Są jednak tacy, którzy na wojnie dobrze wychodzą, a tymi będą obecnie uczniowie i uczenice szkół wszelakiej kategoryi. Czekają ich wakacye zimowe z powodu braku opału i oświetlenia, a, o ile wiem, żadna młoda istota o to się nie gniewa. Ciało nauczycielskie także nie zgłosiło swego *veto*, zastrzegając sobie jedynie, by pensya płynęła jak dawniej Mają racyę. Jeśli się próżnuje, tem więcej potrzeba grosza, niż wówczas, gdy się jest zajętym.

Radość też i między młodem pokoleniem, a zarazem i wśród tych, którzy myć się nie lubią, podobno bowiem ze względów oszczędnościowych zaprowadzone będą w krótkim już czasie dni bez mydła, nie będą więc narażeni na nieprzyjemności, a w siódmem stanowczo znaleźliby się niebie, gdyby tak w owe dni zakazano i używania wody.. Choć wątpię. by do tego przyszło. W ostatnich czasach tyle napadało śniegu, iż wystarczy na dłuższy czas do zasilenia miejskiego wodociągu. Niechby tylko stajał jak najprędzej, tego się jednak boją saneczkarze i narciarze, choć chyba w tym roku nażywali się dość i odbili sobie z lichwiarskim procentem zawody z lat poprzednich. Niejeden i niejedna poobijali sobie boki, popodbijali oczy, pozbijali nosy, ale nic sobie nie robią z tego, słodko bowiem cierpieć... dla sportu!

Byłbym najniewdzięczniejszym z niewdzięcznych, gdybym nie zawadził bodaj kilkoma słowy o również wojenną nowość, mającą przecież dla nas, którzy cierpimy pod obuchem kamieniczników, bardzo wielkie znaczenie. Nawet czworonogi miały swych opiekunów, którzy zajmowali się gorąco ich losem i utworzyli „Towarzystwo ochrony zwierząt", nie mieli ich natomiast biedni lokatorzy, oddani na łaskę i niełaskę właścicieli realności Teraz dopiero, w czasie wojny, zlitowano się nad nimi i wydano cały szereg postanowień, mających na celu ochronę lokatorów.

Kamienicznicy nie są z tego bynajmniej zadowoleni, nie mogąc co kwartał podwyższać czynszu, ani wyrzucić z mieszkania lokatora, gdy się znalazł ktoś, kto zaoferował wyższy czynsz. Powiadają, że dzieje im się krzywda i że ten, kto podał projekt takiej ustawy, z pewnością sam kamienicy nie posiada. Zapomnieli jednak, że rozporządzenie, nazwano „Ochroną lokatorów", ale nie zapomniano i o właścicielach i zajęto się ich interesami, o ile przez wojenne wypadki na szwank narażone zostały.

Jednemu z nich, gdy narzekał, że kamienica tyle mu kłopotów sprawia, iż chętnie pozbyłby się jej za wszelką cenę, oświadczyłem gotowość przejęcia jej na siebie wraz z kłopotami, a nawet i długami, lecz bez żadnej dopłaty... Popatrzył na mnie jak na waryata, uśmiechnął się złośliwie pod wąsem i odpowiedział:

— Musi mi pan zostawić kilka dni do namysłu.

— Ależ i owszem — ja mu na to. — Obchodziłem się jakoś dotąd bez kamienicy i kłopotów, z nią połączonych, mogę poczekać!...

I czekam, ale wątpię bardzo, czy się doczekam!

Zagadki do nagrody.

Logogryf.

Ułożył St. Wein, Tarnów.

W miejsce kwadratów i kresek wstawić litery, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, utworzy imię i nazwisko polskiego poety.

```
— — — — □ — — — —
      — □ —
    — — □ — —
      — □ —
    — — □ — —
— — — — □ — — — —
  — — — □ — — —
    — — □ — —
    — — □ — —
  — — — □ — — —
— — — — □ — — — —
— — — — □ — — — —
  — — — □ — — —
```

Znaczenie wyrazów: 1. Brazylijskie drzewo szpilkowe. 2. Przyprawa. 3. Jedna z tętnic w ciele ludzkiem. 4. Zamek. 5. Miejsce połowów. 6. Wyjątki z dzieł pisarzy. 7. Zdrobniałe imię żeńskie ruskie. 8. Mała łódź. 9. Jedna ze stolic europejskich. 10. Dawna moneta austryacka. 11. Warstwa powietrza, otaczająca ziemię. 12. Monarcha absolutny. 13. Zwierzę z rodziny przeżuwaczy.

Zadanie na rozsypane litery.

Ułożył E. Winter, Tarnow.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

a, a, a, a, d, d, d, d, e, e, ę, j, j, k, k, o, o, p, r, r, t, w, y, z.

Szarada.

Ułożył A. J. Tonek, Kraków.

Pierwsza i czwarta, kraj, a jego sława
Dawno minęła!... I ziś on część stanowi
Państwa, którego historya ciekawa
Żadnemu nie jest obcą narodowi.

Druga i trzecia w skład Penatów wchodzi,
I domowego bóstwem jest ogniska,
Cześć jej składali i starzy i młodzi
Znosząc dań swoją zdaleka i zblizka.

Trzecia i czwarta jest nieunikniona
Dla podróżników, każdego spotyka
Zawsze gościnna, świeżo przystrojona,
Drzwi swych przed gościem nigdy nie zamyka.

Wszystko na balu maskowym, na scenie;
Jeśli udatna, to bardzo przyjemnie
I miłe widzom zostawia wrażenie,
Przeciwnie, działa na ogół ujemnie.

Trójkąt magiczny.

Ułożył In Ey., Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy nazwisko popularnego współczesnego powieściopisarza.

```
□ □ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□
```

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz. 2. Miasto na Śląsku pruskim. 3. Imię żeńskie. 4. Miasto nad Wołgą. 5. Czasomierz. 6. Inaczej raj. 7. Zwierzę domowe. 8. Przyimek. 9. Samogłoska.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył S. Drewienko, Prądnik.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie

Matematyk St. Zw. stroni od groszy.

Kwadrat magiczny.

Ułożył E. Winter, Tarnów.

Z podanych liter ułożyć cztery wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

```
a a a a
a a k o
o p p r
r t t z
```

Znaczenie wyrazów: 1. Ciało lotne. 2. Pierwiastek chemiczny. 3. Olej skalny. 4. Gwałtowny napad.

Trójkąt magiczny.

Ułożył W. Augustowski, Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić literami aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy poda nazwę związku mocarstw.

```
□ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□
```

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz. 2. Wierzchnie ubranie. 3. Imię męskie. 4. Kraj w Europie. 5. Przyrór krawiecki. 6. Zwierzę domowe. 7. Dwie samogłoski. 8. Samogłoska.

Łamigłówka literacka.

Ułożył E. Winter, Tarnow.

Z podanych liter ułożyć nazwiska czterech wybitnych polskich literatów (trzech poetów, jeden powieściopisarz).

```
a a e c c c c e
e e e e i i i i
i i i k k k k l
m m m n r s s s
w w w w z z z z
```

Bilety wizytowe.

Ułożył E. Winter, Tarnów.

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód poszczególnych osób:

ZRINI DZENKA

LAJOS RATI

E. W. A. JODOW

WIESIO SCIZOPPAR.

R. Z. TATARA ŻBIERYSZ.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania: **Album Legionów polskich.**

Rozwiązanie zagadek z Nr. 5.

Łamigłówka:

Pol
Iwa
Łuk
Sól
Ule
Dar
Ser
Koń
Iwo

Grzebieniówka:

```
L u d w i k O s i ń s k i
e   e   p   s   m   e   n
s   f   h   t   p   r   d
z   e   i   r   e   a   a
c   n   g   o   r   s   g
z   z   e   ł   a   k   a
y   y   n   ę   t   i   c
n   w   i   k   o   e   y
a   a   a   a   r   r   a
```

Równanie:

Z głowa + Walenty + Kawecki = Głowacki.
Fa ola + karabin + Napoleon = Faraon.

Okienko:

```
A g a w a
g   k   g
a k c y a
w   y   t
a g a t a
```

Trójkąt magiczny:

```
M a g d e b u r g
A n t o n i n a
G a l i c y a
D y a b e ł
E k r a n
B o n a
U f a
R o
G
```

Zadanie do przestawienia: W pięty mierzył, w łeb uderzył.

Okienko:

```
A n t w e r p i a
n       u       r
z       z       e
w       e       s
e u z e b i u s z
r       i       t
p       u       a
i       s       n
a r e s z t a n t
```

Bilety wizytowe: Dziennikarz. Lekarz wojskowy. Dyrektor teatru. Astronom.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: F. Horak Oświęcim, W. Rachwalski Bochnia, K. Ciesielski Poznań, S. Gliński Nowy Sącz, J. Rogalski Radłów, S. Krzyżanowski Podgórze, H. Radziński Sucha, J. Broda Kraków. M. Planecka Kraków. F. Gebhardt Kraków, J. Niemojewski Zakopane, S. Karczmarski Poddębie, M. Klappholz Praga, J. Strojek Podgórze, W. Bogusz Zabierzow. A. Gross Kraków, J. Szewioł Prądnik, S. Ramza Wieliczka. M. Bański Liszki. J. Jakubowska Kraków, J. Wilczkiewicz Wiedeń, D. Kedyńska Zakopane, S Kowal Nowy Sącz, E Bogdański Koroono, W. Świrski Zakopane, Z Rogozińska Kraków, S. Medyński Zakopane, J. Krawecki Bochnia, Cz. Lipiński Zakopane, M. Domagalska Kraków. J. Łopatkiewicz Wiedeń, Jan Górka Kraków, J. Ciszewski Peszt, W. Błoński Kraków, J Boczyński Kraków, J. Jahoda Cieszyn, M. Sperling Wiedeń, W. Kadulska Kraków, W. Krzywicki Praga K. Reichenberg Cieszyn, W. Potocka Kraków, S. Kalinowska Podłęże, T. Nikiel Chrzanów, A. Bandrowski Zakopane, K. Leszczyński Wiedeń, E. Laskowski Jordanów. T Rzepecki Poznań, S Kamocki Wiedeń. H Ungar Wiedeń. R. Sadowski Kraków, J. Czarkowski Poznań, J. Gramski Wadowice, S. Sokołowski Kraków, K. Błachowski Kraków, K. Zegartowska Bogucice. H. Obst Praga, I. Brzostowski Chrzanów, K G...b Nowy Sącz S Roth Tarnow, W. Stachowicz Lwow, A. Gliński Przemyśl, E Winter Tarnów.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **J Broda, Kraków.** Upraszamy o nadesłanie 25 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Właściciel i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: H. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego